

KAMENA

LUBLIN 24 III 1974 Nr 6 (544)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Dojna krowa? Ejże!

Miroslaw Derecki

Przed naszą fabryką, a w szczególności przed Zakładowym Domem Kultury i w ogóle działalnością kulturalną wśród ludzi pracy, postawione zostały nowe zadania. Wynikają one z zainicjowanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki akcji pod hasłem: „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką...”

NA następnych kilkunastu stronach „Programu działalności kulturalno-oświatowej Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie” opisano obszernie różnorakie formy pracy kulturalno-oświatowej rozłożonej na poszczególne działy, zakładającej bogaty i zróżnicowany wachlarz imprez, od tzw. „śniadaniówek” i stałej akcji odczytowej po spotkania z wybitnymi przedstawicielami teatru, literatury, filmu. Plan roboczy programu opracowany został przez kierownictwo Zakładowego Domu Kultury przy udziale członków kilku komisji Komitetu Zakładowego i zatwierdzony przez plenum tegoż Komitetu w dniu 15 lutego br.

Dokończenie na str. 4-5



Fot. W. Stępień

WIOSNA NA DŁONI

Roman Żubkiwski

O WIETRZE

Spotkałem się w polu z wiatrem.

- Co robisz w polu, wietrze?

- Szukam barw do szaty.

Szaty dla mej ukochanej.

Spotkałem się w morzu z wiatrem.

- Co robisz w morzu, wietrze?

- Szukam bursztynu w morzu

Na pierścien dla mej ukochanej.

Spotkałem się w górach z wiatrem.

- Co robisz w górach, wietrze?

- Szukam szlachetnych kamieni

Na diadem dla mej ukochanej.

Spotkałem się w pustkowiu z wiatrem.

- Co robisz w pustkowiu wietrze?

- Szukam imienia w pustkowiu

Dla dziewczyny, dla ukochanej,

Jedyniej i najmiłszej...

Przełożył Piotr Kupryś

Autor tego wiersza, młody poeta ukraiński, mieszka we Lwowie. Jest zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Zwień”, z którym „Kamena” utrzymuje bezpośredni kontakt.



Fot. W. Stępień

WIECZÓR Z JASTRUNEM

ISTNIEJĄ różne sposoby odbycia spotkania autorskiego. Przeczytać fragment tekstu, wygłosić prelekcję na wybrany temat, odsłonić tajniki tzw. warsztatu pisarckiego, przedstawić fragment życiorysu. Mieczysław Jastrun na swym wieczorze w Muzeum Czechowicza dnia 28 lutego 1974 r. zaprezentował kilka z nich, ale chyba najciekawsze było wyznaczenie pisarza odnoszące się do jego założeń twórczych, zasadnicze i generalne, niezależnie od zastosowanej formy nieobowiązującej gawędy.

Jastrun jest ważny. Ważny we współczesnej poezji przede wszystkim przez jednolitość swego artystycznego światopoglądu, skutkiem czego warstwa

konkretyzacji artystycznej znajduje się w ścisłym związku z filozoficzną orientacją, co dziś nagminnie nie jest, jako że owej orientacji w nadmiarze nie spotykamy. Dorobek autora „odziny strzeżonej” i „Gorącego popiołu” przedstawia się oczom czytelnika jako pasmo jednolite, w niewielkim tylko stopniu podległe stylistycznym wpływom

czasu, w którym ta twórczość się rozgrywa. Czas i styl. Oto co na ten temat pisze sam Jastrun: „W perspektywie czasu ostaje się niewiele, tak niewiele, że nie ma chyba poety, który by w jakimś momencie życia nie poczuł nieważności do wszelkiego stylu, do takich czy innych środków wyrazu, na które jest skazany”. Tak, ale poezja Jastruna

wykazuje, że autor przeszedł obszar stylistycznych poszukiwań w sferze refleksji, w praktyce powraca do mięsa, które wyróżnił swym stylistycznym upodobaniem, to znaczy do mowy przeobrażonej zadumą. Nie jest to bowiem poezja zachwytów. Jest to poezja za-

Dokończenie na str. 10

Dni „Trybuny Ludu” na Lubelszczyźnie

TEN numer „Kamień” ukazuje się z datą 24 marca, ale w kioskach Lublina znajdzie się 20 marca. A od 19 do 23 marca będą trwać Dni „Trybuny Ludu” na Lubelszczyźnie. Inicjatywa redakcji organu KC PZPR jest bardzo cenna i zapewne przyczyni się do zwiększenia grona czytelników pisma, którego nakład stale rośnie. Numer sobotni z 16 marca br. ukazał się w liczbie 898 800 egzemplarzy.

W ciągu pięciu dni dziennikarze i współpracownicy „Trybuny Ludu” będą spotykać się z czytelnikami, dyskutować o sprawach, którymi żyje świat i kraj, o roli prasy. Program „Dni” przewiduje spotkania i dyskusje w kilkunastu zakładach pracy naszego województwa, m. in. w FSC, WSK Świdnik, Kombinacie Cementowym w Chełmie i w Fabryce Łożyisk Tocznych w Kraśniku. Osobne spotkania odbędą się w poszczególnych środowiskach — inżynierskim, nauczycielskim, studenckim, ludzi kultury i sztuki. W Wojewódzkim Ośrodku Propagandy Partyjnej będzie czynna wy-

stawa pod tytułem: „Trybuna Ludu przedstawia się”.

Interesująco zapowiada się dyskusja w FSC na temat współczesnego bohatera. Obok dziennikarzy „Trybuny” wezmą w niej udział naukowcy i dziennikarze lubelscy.

Klub MPiK udzieli gościny publicystom „Trybuny” zajmującym się problematyką międzynarodową; Maksymiliana Berezowskiego, Zygmunta Broniarka, Ignacego Krasickiego i Ryszarda Wojny nie trzeba nikomu przedstawiać. Te nazwiska, tak dobrze znane z łamów „Trybuny” i Telewizji, z publikacji książkowych ściągają zapewne do Klubu licznych słuchaczy.

Redakcja „Trybuny” nie zapomina również i o rozrywce. Przygotowuje się — wspólnie z lubelską „Estradą” — dwa koncerty: „Trybuna Ludu ludziom dobrej roboty” i drugi — „Trybuna Ludu swoim Czytelnikom”.

Wspomnieliśmy, że nakład „Trybuny Ludu” stale rośnie. Jest to w głównej mierze zasługą kierownictwa redakcji, na której czele stoi doświadczony dziennikarz, Józef Barecki (który nota-

bene w latach 1966—1969 stale zasiadał „Kamień” swoimi komentarzami politycznymi i felietonami), i ambitnego zespołu. W skład tego zespołu wchodzi również były pracownik naszej redakcji, Romuald Wiśniewski. Te — rzecz by można — powiązania personalne „Trybuny” z „Kamieniem” powodują, że szczególnie żywo interesuje nas rozwój pisma i jego osiągnięcia.

Nie ma bodaj takiej dziedziny życia w naszym kraju, którą nie zajmowałoby się pismo. Również problemy kultury, które dla nas są bardzo bliskie, zajmują na łamach „Trybuny” sporo miejsca.

Oto np. niedzielny numer „Trybuny” z 17 marca. Tylko jeden numer, a jakie bogactwo treści! Jest tu i „Z filmem przez historię” Wojciecha Wierzeńskiego, „Gdzie jesteś, poeto?” Michała Misiornego; Tadeusz Robak zajmuje się Wielkopolskim Towarzystwem Kulturalnym, a Krystyna Tyszkowska wrocławskim teatrem amatorskim — „Zielona latarnia”; Bogusław Czarmiński przedstawia relację z rozmowy z dyrektorem Wydawnictwa Mor-

skiego, Edwardem Mazurkiewiczem, a Kajetan Gruszecki opisuje swe przeżycia z wycieczki w moskiewskim Teatrze Muzycznym im. Stanisławskiego i Niemirowicza-Danczenki. Wiele aktualnych informacji, recenzji z przedstawień teatralnych i książek, przedruki z prasy zagranicznej na temat współczesnej powieści i życia teatralnego Nowego Jorku uzupełniają ten ciekawy numer.

Zaletą „Trybuny” jest też stała troska redakcji o to, aby artykuły były krótkie, a zawarte w nich treści podane w atrakcyjny sposób.

To chyba też jest tajemnicą stale rosnącej poczytności pisma.

„Dni Trybuny Ludu” mają być stałą imprezą. Lubelszczyzna je inauguruje. Podobne „Dni” zamierza redakcja organizować w każdym województwie.

Witając serdecznie przedstawicieli „Trybuny” w naszym województwie, mamy nadzieję, że korzyść wypływająca z przebiegu „Dni” będzie dwustronna: „Trybuna” zjedna sobie nowych żarliwych czytelników, zaś redaktorzy pisma lepiej poznają problematykę Lubelszczyzny i będą jej poświęcać na swoich łamach jeszcze więcej uwagi niż dotychczas.

(j)

W którym żyjemy

Nowa nadzieja w walce z rakiem?

GDY Mary Brown z amerykańskiego miasta Dallas, które tak niechlubnie zapisało się w historii USA — tam bowiem dokonano zamachu na życie prezydenta Kennedy'ego — zachorowała przed siedmioma laty na raka piersi, lekarze wiedzieli doskonale, jak ją leczyć. Zgodnie z ustaloną od dawna w takich wypadkach metodą, dokonali amputacji piersi, usuwając jednocześnie wszystkie zagrożone przez tę chorobę tkanki mięśniowe i gruczoły limfatyczne. Następnie zastosowali intensywne naświetlanie promieniami radu, żywiąc nadzieję, iż w ten sposób wszystkie rakotwórcze komórki zostaną zniszczone. Niestety, po upływie dwóch lat na ciele pacjentki, w miejscu amputowanej piersi, utworzył się ponownie guz: komórki rakowe odżyły. Już nie można było zastosować powtórnego leczenia promieniami radu, gdyż groziło to uszkodzeniem dalszych tkanek. W tej sytuacji lekarze zastosowali wszystkie znane leki antyrakowe. Nie przyniosły one żadnego pozytywnego rezultatu. Wówczas Mary Brown zdecydowała się na zastosowanie metody, która ciągle znajduje się w stadium doświadczalnym.

Metoda ta nosi nazwę immunoterapii i polega na wywołaniu w organizmie pacjenta samorzutnego, naturalnego procesu obrony przed rakiem. W wypadku, o którym wyżej, zaszczepiono pacjentkę zarazki gruźlicy w nadziei, że jej organizm wytworzy dostateczną ilość antytoksyn i zwalczy zarówno zarazki gruźlicy, jak też i wirusy raka.

Eksperyment powiódł się. Niedługo po rozpoczęciu tej nowej kuracji guz na ciele Mary Brown zaczął się zmniejszać i wreszcie zniknął zupełnie. Dziś czuje się ona zupełnie normalnie.

Jednak żaden z lekarzy nie twierdzi, że jest ona całkowicie wyleczona. Z drugiej strony wszyscy zgodni są co do tego, iż bez zastosowania metody „immunoterapii” pani Brown dziś prawdopodobnie by nie żyła.

Tu warto przypomnieć, iż immunoterapia nie jest ani nową nauką, ani nową metodą. W 1796 roku brytyjski lekarz, dr Edward Jenner, zaszczepił ósmioletniemu dziecku surowicę pobraną od krowy, by uodpornić je na ospę. Dr Jenner nie wiedział o działaniu systemu samoobrony organizmu ludzkiego, ale zaobserwował, iż dziewczęta wiejskie, które doły krowy chore na ospę i pozostawały często w kontakcie z chorymi zwierzętami — same na ospę nie chorowały. Uczeń w końcu XVIII wieku zaczęli przypuszczać, że organizm ludzki rozporządza mechanizmem zdolnym do zwalczania wielu chorób. Dopiero jednak Ludwik Pasteur wykrył bakterie i w latach 1850-tych opracował oraz ogłosił teorię wykazującą, że działania

drobnoustrojów jest przyczyną wielu schorzeń ludzkich.

Jeśli zaś chodzi o immunologię i jej zastosowanie w leczeniu raka, to też warto wskazać, że w 1891 (i) roku chirurg amerykański, dr William Coley, po raz pierwszy zaobserwował, iż niektóre choroby zakaźne mają dobroczynny wpływ na pacjentów cierpiących na tę chorobę. Dr Coley zaczął im wstrzykiwać różne szczepionki drobnoustrojowe, aby wywołać w ich organizmach reakcje, mogące zwalczać inne choroby. Jego eksperymenty w wielu wypadkach zostały uwięzione powodzeniem, mimo że sam nie wiedział dokładnie, jak działa cały mechanizm. W 1893 r. wstrzyknął pewnemu 16-letniemu chłopcu choremu na raka zarazki kilku chorób i go wyleczył: nowotwór, którego nie można było usunąć drogą chirurgiczną, zaczął się zmniejszać i po kilku miesiącach leczenia zniknął zupełnie. Dr Coley zastosował swą metodę w 250 przypadkach. Stan zdrowia chorych znacznie się poprawił. A jednak metoda dr Coley'a nie została uznana przez świat lekarski.

Wrócił do niej — o czym obszernie informuje amerykański tygodnik „Time” — dr Robert Alan Good, 50-letni pediatra i biolog. Wierzy on, iż immunologia jest kluczem nie tylko do opanowania schorzeń rakowych, lecz także możliwości leczenia wielu innych chorób człowieka. Dr Gooda uważa się za najwybitniejszego immunologa w Stanach Zjednoczonych. Jego badania, prowadzone przede wszystkim na uniwersytecie Minnesota, przyczyniły się do rozszerzenia wiedzy o tym, jak działa system zwalczania zachorowań przez sam organizm ludzki. W ostatnim czasie dr Good przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie został kierownikiem największej placówki onkologicznej w USA i dyrektorem ośrodka badawczego tego instytutu. Warto nadmienić, że w Stanach Zjednoczonych na raka zapada rocznie około 650 tys. osób. Ponad połowa z nich — umiera.

Czy „immunoterapia” zahamuje te tragiczne żniwo — pokaże przyszłość. Zwolennicy metody dr Gooda twierdzą, że dotychczasowe metody leczenia — chirurgia, naświetlanie i chemoterapia, czyli podawanie leków — są także skuteczne w wielu przypadkach raka. Jednakże chirurgia, czyli mechaniczne usuwanie nowotworów, które mogą okazać się złośliwe, pozostawia, oczywiście, trwałe ślady na ciele pacjenta, naświetlanie zaś niszczy niekiedy zdrowe tkanki wraz z tkankami rakotwórczymi, natomiast chemoterapia wywołuje często przykre i niebezpieczne skutki uboczne. „Immunoterapia” nie ma tych niekorzystnych następstw.

Dotychczas nie ma absolutnych dowodów, że nowotwory rakowe tworzą się, gdy system uodparniający człowieka działa wadliwie. Ponad wszelką

wątpliwość stwierdzono jednak, że nowotwory złośliwe powstają najczęściej u ludzi w starszym wieku, lub wśród ludzi bardzo młodych, a wiadomo skądinąd, że właśnie w tych grupach wieku system uodparniający działa najsłabiej. Dr Good i jego współpracownicy zaobserwowali w wielu wypadkach wyraźny związek między schorzeniami rakowymi, a wadliwym działaniem systemu uodparniającego. Dr Good jest przekonany, że taki związek istnieje zawsze i pracuje intensywnie nad wykryciem dokładnym przyczyn takiego związku.

Oczywiście dr Good nie jest jedynym zwolennikiem opisaną wyżej metody. Wiadomo, że wybitny onkolog francuski, dr Georges Mathé, stosuje BCG (szczepionkę sporządzoną z zarazków gruźlicy) od 1964 r. Otrzymuje zachęcające rezultaty, zwłaszcza w wypadkach białaczki, czyli raka krwi.

Ciągle jednak większość lekarzy w USA uważa, że konieczne są jeszcze długie, skrupulatne badania zanim „immunoterapia” będzie można uznać za właściwą i niezawodną metodę. Ostrzegają oni, że przy rozległych nowotworach nie przyniesie ona widocznych rezultatów. Przy tego rodzaju wypadkach należy liczyć na zabiegi chirurgiczne, naświetlanie i chemoterapię. Zgoda — dodaje inny wybitny specjalista amerykański, dr Lloyd Old — ale drogą chirurgiczną można usunąć od 90 do 99 proc. komórek nowotworowych, co jednak nie wystarczy do całkowitego wyleczenia chorego. Jeśli bowiem pozostanie choć jedna komórka, trzeba nastawić organizm chorego na możliwość obrony przed jej rozmnażaniem się, a to da się osiągnąć w wypadku, gdy pobudzi się właściwie system uodparniający.

Dr Old uważa jednocześnie, że nigdy nie można mówić o całkowitym wyleczeniu pacjenta dotkniętego schorzeniem rakowym. Można tylko stworzyć warunki umożliwiające organizmowi stałe zwalczanie komórek nowotworowych. Nie znaczy to wcale, że rak jest chorobą śmiertelną. Śmiertelny jest tylko „rak postępujący”, a zadaniem lekarza nie jest całkowite wyeliminowanie choroby nowotworowej, lecz jedynie zapewnienie równowagi między rakiem a organizmem pacjenta.

Relacjonując opinię tygodnika „Time” nie konsultowaliśmy się z naszymi naukowcami. Sądymy, że do tematu trzeba będzie powrócić. Wszelkie listy i opinie dotyczące wspomnianego zagadnienia powitamy w redakcji „Kamień” z wdzięcznością i chętnie udostępniemy im nasze lamy. Musimy jednak zacytować słowa pewnego znajomego lekarza, rentgenologa, z którym rozmawialiśmy prywatnie: „Chcecie pisać o „immunoterapii”? Hmm... A czy warto budzić nadzieje wśród tych, którym już nie pomoże?”

Chyba nawet z cienia nadziei nikomu rezygnować nie wolno..

— Wybrałem się do pana na rozmowę nie z jakiejś uroczystej przyczyny, co zwalnia nas od okazjonalnego optymizmu, a raczej skłania do codziennego realizmu. W tej sytuacji należałoby może rozpocząć od kwestii pieniędzy na kulturę, lecz żeby się ta rozmowa nie skończyła zanim się zacznie, przystąpię do sprawy z innej strony — zwracam się do Jerzego Cywoniuka, dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Otóż jeżeli nie przekonamy ludzi do zwykłej potrzeby częstego używania mydła, utrzymywania czystości w domostwach i obejściach, higieny i porządku w sklepach et cetera, to nie ma co liczyć, że staną się oni chętnymi odbiorcami jakichkolwiek „wyższych” treści kulturalnych, choćby najlepiej serwowanych, i że domy kultury czy kluby „Ruchu”, choćby najlepiej prowadzone, będą skuteczną konkurencją dla gospody.

— Jest w pańskich stwierdzeniach sporo prowokacji dziennikarskiej, lecz istotnie kultura rozpoczyna się od rzeczy najprostszych. I powstaje tu problem szerszej niż dotąd i skuteczniejszej edukacji narodowej, która winna się zaczynać już w szkole, poprzez miejsce pracy (choćby utrzymywanie porządku w szatniach, stołówkach, toaletach), a na środowisku zamieszkania kończąc. Oczywiście, wymaga to działań nie tylko ze strony resortu kultury. Jeszcze dotąd ludzie wkraczają w waciakach i gumowcach do klubów wiejskich, ale trzeba się wówczas cieszyć, że w ogóle przyszli.

— Lecz żeby owa edukacja udała się w rejonach kraju o niższym funduszu spożycia, trzeba wperiw...

— Wiem, do czego pan zmierza. Powiedzmy więc sobie otwarcie, że istnieją dotąd w kraju regiony ogólnie bardziej zaniedbane niż inne i że same one nie odrobnią dystansu dzielącego je od reszty Polski. Potrzeba inwestycji centralnych, szczególnie ekonomicznych. I nie widzę w tym żadnej sytuacji wstydlivej, skoro teraz nieustannie powtarzamy, iż Polska jest jedna. (Kto wie zresztą, czy ten problem na Lubelszczyźnie nie zostanie rozwiązany wcześniej niż myślimy).

— To bardzo istotne stwierdzenia. Zanim jednak te piękne perspektywy społeczno-gospodarcze zaowocują w środku na kulturę, już teraz należy myśleć o racjonalnym dysponowaniu funduszami istniejącymi. Tymczasem wiadomo, iż pieniądze te od lat leżą w gestii nie tylko resortu kultury, ale również związków zawodowych, zakładów pracy, organizacji społecznych, komitetów czynów społecznych, co prowadzi do rozdrobnienia skromnych zasobów i czyni mało skuteczną działalność merytoryczną oraz inwestycyjną w dziedzinie kultury.

— Częściowo racja. Ale trzeba rozróżnić środki na działalność i na inwestycje. Te pierwsze, jako służące wsparciu również społecznych chęci do roboty kulturalnej w terenie, nadal powinny znajdować się w różnych rękach, inaczej ludzie zaczęliby biernie oczekiwać na inicjatywę ze strony kogoś, kto zgrupowałby całą pulę pieniędzy. Inna sprawa to rozsądne dysponowanie funduszami tego rodzaju. Jeśli bowiem wielki zakład przemysłowy zadawała się jedynie mniej lub więcej skuteczną pracą zakładowego domu kultury, a nie myśli na przykład partycypować w działalności kulturalnej choćby tylko w osiedlach, gdzie mieszka jego większe skupiska pracowników tego zakładu, to jest bardzo źle!

— I nie ma na to rady?

— Praktycznie nie widać. Wydział Kultury właściwie niewiele może zdzia-

łać, jeśli dyrektor fabryki wezwie księgowego, mrugnie doń, a księgowy powie: nie mamy środków. Dla najdrobniejszych nawet poczynań kulturalnych, wykraczających poza bezpośredni interes zakładu, a finansowanych z pieniędzy zakładowych, szuka się uzasadnień i podkładek w bardzo wysokich Instancjach wojewódzkich.

— Przejdźmy może do funduszy na inwestycje kulturalne. Obok siebie po-

PZPR, coraz bardziej rygorystycznie przestrzegana jest uchwała rządowa z 1972 roku, mówiąca o konieczności konsultowania programu wszystkich inwestycji kulturalnych, nawet czynowych, na szczeblu wojewódzkim. I oto pozytywny przykład Zwierzynca, gdzie początkowo gmina czyniła starania o budowę domu kultury za 15 milionów złotych nawet bieżącej wiedzy powiatu. Ostatecznie porozumieliliśmy się, iż ta rozpoczęta w czynie społecznym budo-

domów kultury, a imprezy nie były organizowane, bo scenariusze nie liczyły się z potrzebami i zainteresowaniami miejscowych ludzi. Była moda pomagania ze wszystkich sił placówkom wiejskim, środowiska miejskie pozostawały na boku. Teraz jest modna sprawa powiatowych ośrodków kultury. Powstał taki w Sokołowie Podlaskim, grupujący w jednym budynku kino (przedsiębiorstwo), bibliotekę (jednostka budżetowa) i dom kultury (zakład budżetowy). Kierownictwo jest jednolite, lecz kłopotów rozliczeniowych może być sporo. Spytałem, co osiągnęli? Otrzymałem odpowiedź, że zaoszczędzono dwa etaty sprzątaczek. Może na początek to już coś? Na razie widzę dom kultury jako centrum kulturalne w mieście, oddziałujące także na placówki terenowe. Powinno to być miejsce pracy najrozmaitszych instytucji i organizacji: TPPR, PTTK, ZMS, PCK i tak dalej, działalność wzajemnie konsultowanej, opartej na wymianie doświadczeń. Całość zagadnienia trzeba jednak generalnie przedyskutować, w końcu coś postanowić i dać temu czas, żeby się sprawdziło w praktyce.

— Tak czy owak, byłaby to działalność obliczona na wywołanie określonych postaw i zainteresowań. Istnieje wszak problem kanalizacji zrodzonych spontanicznie podkultur, przy czym nie pojmuję tego ostatniego terminu zdecydowanie pejoratywnie. Ot, choćby kwestia muzyki młodzieżowej, w której się wyraża pewien sposób zabawy i kto wie, czy nie pewien stosunek do świata. Było w Lublinie Stowarzyszenie Muzyki Rozrywkowej, mające możliwości kształtowania zjawiska, lecz zlikwidowane za sprawą nadgorliwości urzędniczej tylko dlatego, że osoba prezesa budziła poważne zastrzeżenia i w końcu okazało się, iż uzasadnione. Ale przy okazji bardzo elegancko wylano dziecko z kąpielą: usuwając prezesa, zlikwidowano Stowarzyszenie, a młodzi sobie muzykują po kątach. Ile przy okazji kwasu społecznego!

— Niewiele mogą dodać. Tak zwane podkultury będą chyba powstawać zawsze i problem istotnie w ich zdrowej kanalizacji. Ze Stowarzyszeniem Muzyki Rozrywkowej źle się stało i moja instytucja nie jest tutaj bez winy. Może by sprawą od nowa zainteresować zasłużone w Lublinie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego, które nie stroni przecież i od „łżejszej” działalności?

— Gdyby złożyć przez chwilę, iż reprezentuję gazetę zakładową Wydziału Kultury i Sztuki, to co chciałby pan, żeby zostało na koniec napisane?

— Chciałbym pochwalić pracę domu kultury w Chelmie Lubelskim, nie dlatego, że jeden z największych, lecz dlatego, iż w istniejących warunkach potrafił coś faktycznie sensownego zdziałać, na przykład zeszłoroczna szeroka prezentacja konkursowa dorobku kulturalnego zakładów nie posiadających placówek kulturalnych, czy tegoroczny „festiwal przemysłowy”. Natomiast ciągle martwię się, iż utknęła na szczeblu ministerialnym decyzja przekształcenia oryginalnego zespołu pantomimy, działającego przy WDK, w Stowarzyszenie Wizji i Ruchu. Potrzeba na to pięciu etatów i 200 tysięcy złotych rocznej dotacji, to jest akurat tyle, ile co roku kosztowało, utrzymywane przez województwo w ciągu pięciu lat, ogólnopolskie Stowarzyszenie Twórców Ludowych, obecnie przejęte przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Z kłopotów codziennych wymienilibym ciągle wojnę z zakładami pracy, by te wreszcie zrozumiały, że kultura jest również ważna jak produkcja, i że na dalszą metę tych spraw nie da się rozdzielić, bo one się wzajemnie warunkują.

Rozmawiał: M. P.

O KULTURZE REALISTYCZNIE

Rozmowa z dyrektorem
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego
w Lublinie
Jerzym Cywoniukiem



wstają dwa kluby różnych zakładów, zamiast jednego międzyzakładowego, większego i lepiej wyposażonego. Rosną czynowe amfiteatry, nie zawsze uzgadniane na szczeblu wojewódzkim. Pod boki Wydziału Kultury odbywa się handel nie dokończonymi domami kultury w terenie. Pisano a tym niejednokrotnie. Jak w tej dziedzinie myśleć o planowej polityce inwestycyjnej w skali województwa?

— To sprawa istotnie kłopotliwa. I może rzeczywiście należałoby zgrupować fundusze inwestycyjne w rękach resortu kultury. Zakłady odprowadzające tego rodzaju środki na konto Wydziału Kultury i Sztuki miałyby zagwarantowaną szerszą konsultację i większe możliwości przy programowaniu własnych obiektów użyteczności kulturalnej. Pogodzenie ambicji lokalnych z potrzebami ogólnowojejewódzkimi bywa często bardzo trudne. Porozumienia międzyresortowe nie zawsze przestrzegane. Cóż my możemy wobec księgarstwa, które leży w resorcie handlu? Przekonywać tylko i prosić grzecznie!

— Obawiam się, że nie wyjdę z pańskiego gabinetu uskrzydłony optymizmem, choć lokal Wydziału coraz piękniej urządza.

— Nie będzie tak źle. Wprawdzie w Wydziale Kultury pracuje tylko jedna osoba zajmująca się problematyką inwestycji, ale ostatnio, dzięki pomocy ze strony Wydziału Propagandy KW

wa jest realna i potrzebna, a partycypować w kosztach będzie przemysł drzewny. To ważne ustalenia, albowiem niektóre inwestycje czynowe ciągnęły się latami.

— Czasami odnoszę wrażenie, iż kultura, pojmowana jako określony stan świadomości ludzkiej, sposób bycia i zespół zapotrzebowań życiowych człowieka, kształtuje się niejako poza oficjalną działalnością dysponentów kultury w naszym kraju, placówek i działaczy kulturalnych. Co chwila, mówiąc nieco przesadnie, budzimy się z nogami w misce zimnej wody. Bez naszego udziału powstają tak zwane podkultury, nad którymi głowimy się, skąd się wzięły i co z nimi robić. Albo taka jest natura rzeczy, albo model oficjalnych działań na polu kultury, szczególnie model placówek kulturalnych i form pracy, wymaga generalnych zmian.

— Tu jest kilka spraw. Model domu kultury i klubu wiejskiego istotnie wydaje się przestarzały, a dyskusje nad nim trwają już kilkanaście lat...

— Nadal dom kultury to przede wszystkim przytulisko dla bardzo młodych i bardzo starych, trochę pracy dla środowiska, trochę instruktazu.

— Tak. Po części błąd tkwi w tym, że nie potrafimy na coś ostatecznie się zdecydować. Panują rozmaite mody. Była na przykład moda na pisanie scenariuszy imprez przez pracowników



Fot. W. Stępień

Dojna krowa? Ejże!

Dokończenie ze str. 1

„Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” to zakrojony na wiele lat ogólnopolski program działalności, której celem jest wypracowanie nowego modelu kultury socjalistycznej. Chodzi m.in. o twórcze uczestnictwo klasy robotniczej, o zacieśnienie jej kontaktów ze środowiskami twórczymi. W sprawę zaangażowały się — obok Ministerstwa Kultury i Sztuki — Wydział Kultury KC PZPR oraz Wydział Oświaty, Kultury i Prasy CRZZ. Na początek wytypowano dwadzieścia zakładów pracy z całego kraju i doświadczenia owych „eksperymentalnych” placówek mają po upływie dwóch lat dać podstawę do opracowania ściślejszego programu i objęcia nim już licznych instytucji i fabryk.

Wśród tej dwudziestki znalazła się Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie, obok Zakładów Cegielskiego, Stoczni Gdańskiej i Stoczni Szczecińskiej. Wszystkie zostały zobowiązane do opracowania własnych programów.

Jest więc powód do dumy, ale chyba zarazem i odpowiedni moment do zastanowienia się, na ile Fabryka Samochodów Ciężarowych jest przygotowana do twórczego realizowania założeń takiej akcji.

Przed kilku laty przytoczyliśmy na łamach „Kamenu” wypowiedź ówczesnej dyrektorki Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, Ireny Szczepowskiej, o pracy Zakładowego Domu Kultury FSC: *Bardzo ambitna placówka, doskonała kadra instruktorska. W dodatku żaden z zakładowych domów kultury w naszym województwie nie pracuje w tak trudnych warunkach jak ten.*

ZDK od lat mieścił się na parterze hotelu robotniczego, u wejścia do fabryki, ale z dala od dzielnic mieszkaniowych i to przede wszystkim

rzutowało na jego możliwości oddziaływania, i na rodzime środowisko robotnicze, i w ogóle na kształtowanie kultury wśród mieszkańców Lublina.

Jest rzeczą zrozumiałą, że nikt po wyjściu z pracy i po powrocie do domu w osiedlach Kalinowszczyzna, Bronowice, czy nawet najbliższej położonym osiedlu „Motor” nie będzie ciągnął do dalekiego klubu. Obiecywano sobie wówczas wiele zmian na lepsze w związku z inicjatywą budowy nowoczesnego, wielkiego Zakładowego Domu Kultury, chociaż wśród wielu ludzi musiał budzić poważne obawy fakt zlokalizowania ZDK również w pobliżu wejścia do fabryki. Ponieważ ten obiekt nie został jeszcze zrealizowany, jest czas, aby sprawę lokalizacji rozpatrzyć ponownie, biorąc pod uwagę przede wszystkim opinie ludzi, którzy z tego ZDK będą mieli korzystać na co dzień.

trzebny jest obiekt kulturalny usytuowany tam, gdzie jest on najbardziej potrzebny: w centrum większego skupiska ludności. Tym bardziej, że w kosztach budowy mają partycypować po połowie Ministerstwo Przemysłu Maszynowego i Urząd Wojewódzki.

Podczas spotkania z przedstawicielami Komitetu Zakładowego PZPR oraz Rady Zakładowej w ogóle nie chciano rozmawiać z dziennikarzem na temat budowy ZDK. „Wolelibyśmy, żeby na ten temat nie pisać” — tak się wyrażono dosłownie. Dlaczego? „Jesteśmy rozgoryczeni tą całą sprawą” — ucięto rozmowę. Na inne pytania „Jaką sumę przeznacza się na działalność merytoryczną Zakładowego Domu Kultury?” — padły wymijające odpowiedzi, z których wynikało tylko tyle, że zakład dysponuje nie największymi sumami na kulturę, które to jednak sumy mogą się



Orkiestra dęta FSC

Fot. Archiwum

Tak więc w ciągu kilku lat nie się nie zmieniło i Zakładowy Dom Kultury FSC przy swoich kilkunastu zespołach artystycznych, z doskonałą orkiestrą dętą, chórem mieszanym „Lira”, kabaretem „Temafor”, klubem piosenki, licznymi zespołami dziecięcymi, kołami zainteresowań, biblioteką zakładową (liczącą 23 tysiące tomów) i sześćdziesiątą punktami bibliotecznymi w poszczególnych wydziałach, z szeregiem akcji odczytowych popularyzujących film i teatr — pozostał nadal klubem oderwanym od skupisk ludzkich, jeżeli nie liczyć jednego hotelu robotniczego.

Można bez żadnej przesady powiedzieć, że największy zakład przemysłowy Lubelszczyzny, zatrudniający 11 tysięcy pracowników w minimalny tylko sposób zaznacza swoją obecność w życiu kulturalnym miasta. A miało to, jeżeli odliczyć dojeżdżających, 7 czy 8 tysięcy pracowników FSC, wśród których znaczący procent przypada na młodzież. Dla tych ludzi i w ogóle dla miasta, którego FSC jest wszak integralną częścią, po-

„innym” wydawać wielkimi, „a my nie chcemy żeby traktowano nas jak dojną krowę”. (sic!)

Otóż to! Skądinąd można się jednak dowiedzieć, że — przynajmniej w ubiegłym roku — na działalność merytoryczną ZDK Rada Zakładowa przeznaczyła 460 tys. zł, zaś z drugiego źródła, jakim jest Fundusz Zakładowy, na dopłaty do biletów wstępu bądź zakup całych przedstawień wyłożono 300 tys. zł. Ponad pięć razy tyle przeznaczono na wycieczki.

Ale nie chodzi o to, czy to dużo, czy mało, albo że dużą lub małą sumą są dwa miliony złotych stanowiące ogólny roczny budżet ZDK. Przytoczone wyżej przykłady mają prawo sugerować, że w FSC nie potrafiono w pełni docenić ciężaru gatunkowego akcji: „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką”, albo że zabrano się do jej realizacji metodami tradycyjnymi, bez rozmachu.

W Zakładach Cegielskiego do składu Kierowniczek Rady Kultury, obejmującej owe dwadzieścia zakładów, wytypowano sekretarza KZ PZPR, w

Od Din-Dona do



BYŁ biedny czas powojenny. Porządkując nerwowo swoje życie, ludzie myśleli o chlebie, o mieszkaniu, o egzystencji. Czasami chcieli się też zabawić, uciecieć gdzieś z dźwiękiem harmonijki i pieśni, zatupać na deskach. Chcieli się spotykać, gadać po polsku, słuchać po polsku, potwierdzając własne istnienie. Hucznie i gromadnie obchodzili uroczystości rodzinne, które już nigdy później nie osiągnęły ówczesnego rozmachu. Owacjami witali panią Chmurkowską i Waltera, którzy raczyli najechać teren, nie puszczali ze sceny „sławnych na świecie artystów” Din — Dona Zachęcani przez nową władzę, sami wdrapywali się na podium, śpiewali, tańczyli, stawiali na głowach — dla własnej i rodzinnej uciechy, dla

spełnienia hasła demokratyzacji sztuki. Działo się tak w miastach małych, najwyżej kilkudziesięciu, przetrzebionych wojną, gdzie wszyscy znali się przynajmniej z widzenia. Ten rozkolewany świat ludowej i małomiasteczkowej kultury Lubelszczyzny umknął z pola uwagi historyków, skoncentrowanych na „stołecznym” i późniejszym okresie samego Lublina. Tymczasem na bezdrożnych obszarach między Wisłą a Bugiem po raz pierwszy w Polsce, z całą świadomością i konsekwentnie wcielano w życie idee „kultury i sztuki dla mas”. Początkowo hasło to wy-czerpywało w zasadzie cały program ideologiczny ówczesnej działalności kulturalnej, co zresztą zrozumiale. Skomplikowana sytuacja polityczna skłaniała do przyjęcia jednoczącej społecznie formuły ideowej, wywodzącej się przeciw z ducha Manifestu PKWN, a na czele Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki stał wtedy Józef Nikodem Kłosowski, energiczny działacz ruchu ludowego, autor kilku książek, który zwykł mawiać powiatowym przedstawicielom resortu: „Chcemy, abyście na miejscu mieli dobrą filharmonię, dobry teatr, wystawy, literatów”.

Był jednak biedny czas powojenny, przydłazył opał i żarówek rozstrzygano na szczeblu wojewody, ogumienia do samochodów — równie wysoko. Latano zrujnowane domy, nikt nie marzył jeszcze o inwestycjach, to popular-

ne dziś słowo zupełnie nie występowało w aktach. Brakowało doświadczonych i odpowiednio przygotowanych ludzi, brakowało sprzętu i środków lokomocji, jakie takie sale widowiskowe w terenie liczyły się na palcach jednej ręki. W tej sytuacji ekspedycje artystyczne rzadko i z oporami wyjeżdżały z Lublina, nawet groźba wstrzymania subwencji, zastosowana przez wojewodę np. wobec filharmonii, skutkowałą tylko doraźnie. Kłosowski stał więc w teren referentów wydziału, aby informowali, zachęcali, pomagali i czuwali nad pracą kulturalną w powiatach. Z Lublina wychodziły instrukcje, krzepiące słowa, pomysły, a czasami nawet pieniądze. Z pewną regularnością odbywały się też przy ul. Spokojnej 4 (dziś 22 Lipca) kwartalne konferencje powiatowych referentów kultury i sztuki, mające charakter odpraw sprawozdawczo-szkoleniowych. Ludzie ci wiedzieli zatem, co mają robić, lecz cała praktyczna reszta zależała wyłącznie od ich inwencji, sprytu, energii i umiejętności rozbudzenia środowiska społecznego. W odczuwalny sposób nie ułatwiło im pracy powołanie (27 września 1945 r.) Wojewódzkiej Rady Kultury i Sztuki, pomyślanej jako „czynnik opiniotwórczy i regulujący całokształt życia kulturalnego Lubelszczyzny”; słowo „integracja” nie było jeszcze w użyciu. Rada, nie mająca wówczas odpowiednika w kraju, powstała na grun-

cie całkowicie lokalnej inicjatywy, a na jej czele stał początkowo znany etnograf Janusz Świeży, następnie zaś — Ludwik Czugała, przewodniczący WRN.

Takie więc okoliczności sprawiły, że małe miasta, wprawdzie zakłopotane swoim losem, lecz oczekujące jakiejś rozrywki kulturalnej, choćby rubasznej, same musiały zadbać o wypełnienie dni świątecznych. Tu i ówdzie zaczęły pojawiać się zająłki środowisk „twórczych”, wtedy właśnie, w latach 1945—46, w Białej Podl. i Zamościu ogłoszono lokalne konkursy literackie i rozpoczęło się tropienie rzeźbiarzy, malarzy i muzyków ludowych, które z czasem miało otrzymać ideologiczne wsparcie, a tym samym rangę czolowego kierunku działania kulturalnego. Szczególnie bujnie rozwijał się jednak amatorski ruch teatralny, albowiem gatunek ten respektował społeczne oczekiwania kontaktu „twarzą w twarz”, przynosił i naukę i rozrywkę, umożliwiał spełnienie indywidualnych aspiracji. Niemal wszystkie miasta powiatowe Lubelszczyzny chlubiły się własną trupą, na scenach, bywało, występowały prezydenci i wysocy urzędnicy starostw, a z frekwencją nie było kłopotów — nawet w Teatrze Ziemi Białogórskiej, który posiadał „300 miejsc i 10 łóz”. Motorem tego ruchu była inteligencja, bezinteresownie zresztą uczestnicząca we wszelkich innych działaniach kulturalnych w terenie.

Fabryce Wagonów „Swidnica” — wicedyrektora fabryki, w Fabryce Samochodów Małolitrażowych Białsko-Biała — sekretarza propagandy KZ PZiR. W Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie — kierownika zakładowego Domu Kultury, człowieka pracującego z poświęceniem, ale przybyłego dopiero co spoza Lublina.

Tworcy cytowanego już na początku „Programu działalności kulturalno-oswiatowej Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie” piszą w części końcowej m.in.: *Opracowując program działalności kulturalno-oswiatowej naszej fabryki, braliśmy pod uwagę przede wszystkim nasze możliwości finansowe i bazę kulturalną, którą aktualnie dysponujemy. Jest to uwaga słuszna, ale też mogąca rodzić pytanie: Dlaczego nie posiadając odpowiedniej bazy kulturalnej, nie szuka się innych urog działalności, nie zastanawia nad inną koncepcją realizowania akcji — „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” niż ta, jaką z miejsca narzuca fakt specyficznego odosobnienia ZDK?*

Program, nawet najbardziej wyładowany spotkaniami i wieczorami autorskimi, nawet z najświetniejszymi luminarzami sztuki i kultury polskiej, uderzy w próżnię, jeżeli impreza nie będzie miała charakteru masowego, a to w obecnej sytuacji — nie: lokalowej, ale lokalizacyjnej — jest raczej mało prawdopodobne. Nawet najbardziej atrakcyjne imprezy artystyczne przejdą bez większego echa, jeżeli nie będą się odbywały w większych skupiskach ludności. Nawet najbardziej pomysłowa akcja spali na panewce, jeżeli nie nastąpi sprzężenie zwrotne: fabryka — miasto lub fabryka — dzielnica.

W wypadku Swidnika na przykład sprawa byłaby o wiele prostsza: tam nastąpił proces wzajemnego przenikania pomiędzy Zakładowym Domem Kultury a organizmem miejskim, zaś fakt budowy nowego ZDK w samym centrum Swidnika jeszcze polepszy tę sytuację. Podobnie rzecz wyglądałaby w Krasnymstawie, gdzie usytuowane na peryferiach Zakłady Ceramiczne „Krasny-staw” partycypują w budowie domu kultury właśnie w centrum miasta. Ale centrum kulturalne FSC leży, jak się rzekło, na uboczu i w tej sytuacji zakład powinien z akcją kulturalną wychodzić — raz: na sam teren fabryki, dwa: do klubów i instytucji Lublina.

Od lat sprawdzoną formą działalności kulturalnej w fabryce jest organizowanie punktów bibliotecznych w poszczególnych wydziałach, tak że robotnik ma książkę niejako „pod ręką”. Takich punktów zorganizowano w FSC sześć i chwała za to organizatorom. Pewną formą (choć dyskusyjną) działalności ZDK są popularne „śniadaniówki”, krótkie imprezy artystyczne organizowane w halach produkcyjnych w czasie przerw śniadaniowych z udziałem zakładowych zespołów artystycznych albo aktorów Teatru im. Osterwy. Interesująca wydaje się inicjatywa premier teatralnych czy filmowych (zresztą już będąca w stadium realizacji) w fabryce pod warunkiem, że będą to spektakle do przyjęcia przez widownię robotniczą.

Ale też w fabrycznym programie działalności właściwie na tym się kończy sprawa wejścia ZDK do hal produkcyjnych, a zupełnie nie ma mowy o wejściu tam literatów, plastyków czy muzyków z miasta. Nie widać również propozycji stałego uczestnictwa zakładowych zespołów artystycznych w okolicznych, czy dalej położonych klubach osiedlowych.

A jeżeli sprawę wzajemnego przenikania organizmu fabrycznego i miejskiego potraktujemy w sposób szerszy? Oto jedna z małych lubelskich spółdzielni mogła wpłacić na Miejski Fundusz Rozwoju Kultury 100 tys. złotych, natomiast sprawa finansowania przez FSC konkursu plastycznego przy współpracy ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków (jego celem było stworzenie kilku elementów plastycznych na lubelskiej trasie W-Z) poszła jakby w zapomnienie. Jak dotąd, nie ma żadnego stałego porozumienia ani ze Związkiem Literatów Polskich, ani z ZPAP (przynajmniej w momencie, kiedy piszę te słowa), chociaż odnośne punkty zostały w programie działalności uwzględnione. Nawiązano natomiast kontakt z Biurem Wystaw Artystycznych. W obecnej chwili wygląda on w sposób następujący: na jednej ze ścian klubu-kawiarni ZDK wisi dziewięć niepodpisanych prac lubelskich grafików, a przyspilona do drzwi wejściowych kartka wyjaśnia, że jest to „Wystawa grafiki lubelskiej”.

I jak w tej sytuacji rość sny o wejściu plastyków lubelskich do fabryki, o zbliżeniu klasy robotniczej do sztuki itp. itd.? W tej sytuacji sugerowana mi wizja „dojnej krowy” wydaje się całkiem abstrakcyjna...

Tymczasem w Białymstoku Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Tekstylna-Odzieżowe wyłożyło znaczne sumy ze środków przeznaczonych na reklamę — na monumentalne malarstwo ścienne w mieście i zaangażowane jest w subsydiowanie budowy pomnika. Tymczasem Huta im. Lenina, podpisując umowę z Zarządem Okręgu ZPAP w Krakowie, stwierdza konkretnie: *Dążąc do realizacji zainicjowanego przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą i Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mecenatu społecznego nad sztuką i jej twórcami oraz ściślejszego powiązania krakowskiego środowiska artystycznego z zalogą Huty im. Lenina — Huta zobowiązuje się do ufundowania sześciu rocznych stypendiów dla wyróżniających się pracą twórczą, aktywnych, zwyczajnych członków ZPAP, wytypowanych przez Zarząd Okręgu w uzgodnieniu z Hutą. Następnie wylicza się obowiązki plastyka wobec zakładu i zakładu wobec plastyka, który jest nie tyle gościem huty co niemalże — współpracownikiem. Ciekawostka: Huta im. Lenina nie figuruje na liście eksperymentalnej „dwudziestki”, a umowa została zawarta 22 maja 1973 r., pół roku przed oficjalnym rozpoczęciem akcji: „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką”.*

Nie chodzi o mnożenie przykładów konkretnej i przez to efektywnej współpracy, ale o ukazanie faktu, że możliwe jest wyjście z własnych opłotków, odejście od tradycyjnie rozumianej pracy kulturalnej w środowisku, w którym przyszło żyć. Idealem byłoby, gdyby sprawą kultury robotniczej żyła nie Rada Zakładowa i nie Zakładowy Dom Kultury, ale po prostu cały zakład. Tylko droga do tego trudna, niewdzięczna, pełna zakrętów... i nie jest rzeczą dziennikarza waktazywanie, jak ma ona być budowana.

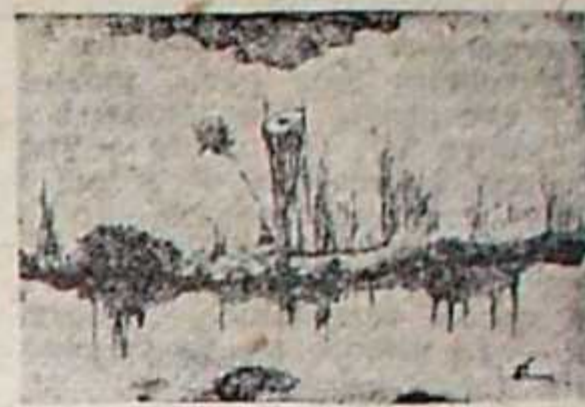
W rozmowach z przedstawicielami FSC często słyszałem zdanie, że program jest jeszcze „w stadium rozkręcania”. Trudno temu zaprzeczyć — akcja dopiero się rozpoczyna. Ale warto chyba zaraz na jej wstępie zwrócić uwagę na czyhające po drodze rafy i mielizny i, póki czas, zastanowić się jak je omijać.

Mirosław Derecki

Witold Zechenter

WCZEŚNIE RANO

Jeżeli ciepłe ptaki marzeń
spod czarnej płachty snu —
znów
w samym środku mojej samotności
rodzinne miasto
uniesie mnie hejnałem
na wysokość nadaremnej tęsknoty.
Za pasiąstą szybą stary
wschodzi świat
bez słowa
Tam szumią wawelskie skrzydła wień,
Płyną strumieniami cienie wąskich ulic
ku jasnym plamom
plant mych stóp dziecięcych.
Trzeba odrzucić żwir tępego snu,
wyruszyć w dzień.
Więc pójdę do starego parku
w najdalszą z alej,
ścieżkę prawie
i spo kam tam może —
siebie?



Rys. D. Opolski

Marian Yoph-Żabiński

PODRÓŻ

Już długo wlatamy ku gwiazdce najwyższej
doskonałości. Nocami oglądam twoje
ciało niebieskie. Wchodzisz na orbitę
całopalną. Wstrzymujesz oddech...
Zapalam prostą świecę w twych ustach
ostrożeńskich, rozpękłych oczekiwaniem.
I obracamy się wokół własnej osi.
A jeśli gwiazda, do której wlatamy,
jest garścią podpalonej słomy
Janino, wybierająca popiół
spod kuchennego pieca?

Festiwalu Sztuki

Tadeusz Graba

Szczególnie wartościowe efekty jej aktywności odnotowano tam, gdzie środowisko to było odpowiednio liczne i mocno osadzone w tradycji społecznej.

Teatr w Puławach, uznawany przez starostwo za stały, był sekcją miejscowego Klubu Inteligencji. Występując we własnoręcznie przysposobionej sali Instytutu Puławskiego, nie tumanili ludzi jakimś ramotami, lecz brał na warsztat sztuki Rydla, Szaniawskiego („Ptak”) i Zeromskiego („Przeziębca”). Cwiczył codziennie, raz na miesiąc dając premierę, a „publiczność dopisywała”. Przewodniczącym Klubu był wówczas (1945 r.) dr J. Mastalerz, skarbnikiem — Wanda Laska, sekretarzem — St. Zawadzki, gospodarzem — dr J. Skulimowski.

Zespół Teatralny im. St. Wyspiańskiego w Krasnymstawie wystąpił po raz pierwszy już w październiku 1944 r., dając „wieczór słowa i pieśni polskiej”. Następnie przygotował „Gwałtu, co się dzieje” Fredry, „Dom otwarty” Baluckiego oraz „Placówkę” Prusa w prze-róbce scenicznej swej reżyserki, Zbyszewskiej — Kisielińskiej. Dwadzieścia przedstawień tej adaptacji obejrzała zresztą publiczność lubelskiego Domu Żołnierza. W 1946 r. zespół pokazał „Jefców” Rydla w reżyserii Marii Gładkowskiej, która z wyjątkowym oddaniem pełniła funkcję powiatowego referenta kultury i sztuki. W tych la-

tach obok Zamościa właśnie Krasny-staw chwalił się szczególnie dynamicznym i różnorodnym życiem kulturalnym. Gościły tu wystawy plastyków lubelskich, koncertowała filharmonia, a w powiatowym rejestrze odnotowano 18 zespołów teatralnych, 12 chórów i 4 orkiestry. W czasie kadencji M. Gładkowskiej Słowarzyszenie Właścicieli Nieruchomości ofiarowało na cele kulturalne budynek z placem — wartości kilku milionów złotych.

Teatry powiatowe dość regularnie odwiedzały wsie i osady, dając rocznie po kilkadziesiąt przedstawień. W remizach, stodółach, nielicznych świetlicach. Służyły radą efemerycznym, lecz mnożącym się zespołom Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Z reguły mierzyły wysoko: w 1947 r. Teatr Ziemi Zamojskiej prowadził próby „Warszawianki”, a w Kraśniku, „pod patronatem Mieczysława Frenkla”, wystawiono „Moralność pani Dulskiej”. Tymczasem w sąsiednim Zakrzówku i Urzędowie „grano sztuczki niepoważne”. Określenie to, zaczerpnięte z dokumentu urzędowego, doskonale oddaje sens i społeczne funkcjonowanie owych teatrów. Nie chodziło o poziom aktorstwa czy reżyserii, wtedy chodziło o znaczenie słowa, o treść przedstawienia.

Ten spontaniczny ruch amatorski sterowany w kierunku profesjonalizmu. Nie udało się. Brakowało sal, fachowców, rekwizytów, pieniędzy na nie-

odzwonne drobiazgi. Z czasem do akcji wkroczyło kino, przed zamachem na ludzką wrażliwość i wyobraźnię uderzając w rachityczne finanse teatrów. W niecałe cztery miesiące po powstaniu Teatru Ziemi Lukowskiej kierownik kina, które opanowało stosowny budynek, domaga się 8 tys. zł za wynajęcie sali na przedstawienie, a w Zamociu roku 1946 chcą jeszcze więcej, bo 12 tysięcy. Z powodów lokalowo-prawnych i obyczajowo-historycznych na początku owego roku upada Teatr Ziemi Chełmskiej, prowadzony przez Jana Szczawieja i jego żonę w budynku dawnego kina „Apollo”.

Idea powołania normalnego teatru w każdym większym mieście powiatowym, odwołująca się niemal wyłącznie do ludzkiego entuzjazmu, dobrej woli i ambicji, okazała się utopią. Społeczeństwo czekało na teatr, lecz nie było w stanie go utrzymać. Właściwe wnioski z tej sytuacji wyciągnęli różnego autoramentu cwaniacy „artystyczni”, którzy dziesiątkami zaczęli najechać Lubelszczyznę, prezentując „rzecz do śmiechu i do sereca”. Cyrkownicy, iluzjoniści, kawalarze i „piewice” przemierzali województwo wszzerż i wzdłuż, dojąc ludzi z mamony. Niezłe oblowiło się też kilku znanych artystów estradowych, do dziś żyjących, którzy obdarzali publiczność niesłychaną tandetą, tyle że z napisem „Warszawa”. Tylko w wyjątkowych wypadkach uda-

walo się przyhamować aktywność tej gromady. I tak na przykład we wrześniu 1945 r. Wiktor Zin, będący wówczas powiatowym referentem kultury i sztuki w Hrubieszowie, „przyczynił się do zlikwidowania Propagandowego Zespołu Teatralnego, stojącego na niskim poziomie i stara się o stworzenie stałego zespołu, co jest na razie niemożliwe z powodu braku fachowej siły reżyzerskiej”. Dwa lata później M. Gładkowska alarmuje województwo, że w Krasnymstawie stale pojawiają się „objazdowe rewie o fatalnym poziomie”. Niedawno produkował się np. „Warszawski SMW Teatr Objazdowy o charakterze muzyczno-rewiowym”, jak zachwalały afisze, pod dowództwem panów Teodorczyka i Denisa, który wystąpił z przedstawieniem „A to atom”. „Całość programu — rewie wlosy M. Gładkowska — to sięgający szczytu blażeński, niski dowcip w najtrywialniejszym wykonaniu, tak tańca (parodii), jak i piosenki”. Na domiar wszystkiego trupa posiadała zezwolenie Urzędu Wojewódzkiego Lubelskiego z dnia 17 lutego 1948 r.

Rzecz całą można skwitować jednym zdaniem: takie widać było zapotrzebowanie społeczne. Trochę w tym racji, nie mydlimy sobie oczu, pamiętajmy jednak, że w tamtych latach publiczność waliła na każde widowisko.

Przymiarki do powołania półzawodowych teatrów w miastach powiatowych usprawiedliwiało całkowite wyjąłwie-

Dokończenie na str. 6

Kamena str. 5

Ktoś kiedyś dał ogłoszenie w gazecie:
Wyszukując na miesiąc do Europy,
szukam towarzysza podróży. Wiado-
mość: New York, 3-14 Avenue 27.

Nazajutrz, późnym wieczorem, kiedy już spał smacznie od przeszło godziny, rozległ się nagle w przedpokoju ostry dzwonek. Otworzywszy nie bez wahania drzwi, widzi za progiem zdyszanego ję-
gomości, który woła do niego tonem przeproszenia: „Przyszedłem uprzedzić pana, że nie mogę jechać z panem do Europy!”

Mark Twain czy po prostu anegdota?

Otóż wydaje się, iż stworzyłam niejako podobną sytuację, skoro mając pisać o teatrach paryskich, trwoniałam czas i papier na tłumaczenie dlaczego do teatrów nie uczęszczałam. Nie pogarszamy tedy sprawy dalszym kajaniem się, tym bardziej przesadnym, że obejrzałam wszelako spektakli parę, o czym zresztą wspominałam w n-rze 5 „Kamery”. Nadeszła pora rzetelniejszego rozliczenia się ze 110-dolarowego przydziału wy-cyganionego na „pogłębienie kwalifikacji zawodowych”.

A więc najsamprzód wypada uzupełnić to, co powiedziałam dotąd o „Théâtre 71” i jego dyrek-torze Guy Kayacie.

Lublinianie wiążą nazwisko Kayata z insceni-zacją „Różowej róży” C.L. Charbonnier w Tea-trze im. Osterwy i zarazem z pogłoskami o działalności w Centre d'Animation Culturelle pe-ryferyjnej dzielnicy Malakoff. Stąd błędne u nas mniemanie, jakoby Guy Kayat uprawiał w Pary-żu właściwie działalność kulturalno-oświatową. Istotnie uprawia ją na co dzień ze znakomitymi wynikami, stanowi też chyba ona materialną bazę jego egzystencji. Lecz jednocześnie jest Kayat ar-tystą o kwalifikacjach reżyserskich, z chwilą gdy w supernowoczesnej sali „Théâtre 71” bądź w Cité Universitaire lub gdzie indziej, realizuje spektakl z Compagnie Charbonnier-Kayat. Sama nazwa „Théâtre 71”, popularnie — Théâtre Mala-koff, wymaga komentarza. Z jednej strony jest ona jakby reprezentatywnym szyldem całego Centre d'Animation Culturelle na Place du 11 Novembre, z drugiej — ów teatr jest członem tej placówki wśród różnorodnych „discyplin” arty-tycznych — że posłużę się tu terminologią spor-tową.

W takim układzie, Compagnie Charbonnier-Kayat, permanentnie łączona z „Théâtre 71”, ozna-cza zmienne (bo uzależnione od potrzeb wy-stawianej sztuki) grono aktorów zawodowych, firmowane przez dyrektora-reżysera i jego żonę, pisarce.

Powiedziałam już coś niecoś o spektaklu zawo-dowym Kayata „Célébration”, teraz chciałabym jeszcze podkreślić, że omawiany Centre d'Anima-tion Culturelle ustawicznie angażuje artystów za-wodowych nie tylko do „Théâtre 71”, ale i do in-nych swych akcji. Widziałam w jego sali prze-liczny pokaz baletowy absolwentów szkoły wy-bitnego choreografa, cieszącej się dużym uzna-niem Ethéry Pagava. Przekładali oni na taneczne środki wyrazu z godną podziwu perfekcją zarów-no muzykę klasyczną, jak nowocześnie, przekazu-jąc widzom charakter refleksyjny, emocjonalny czy wręcz żartobliwy tańca.

Padło przed chwilą słowo „widzom”. A cóż to byli za widzowie? Dzieci, tak — działka z przed-szkola. I trzeba było słyszeć, z jakim animuszem wypowiadali się, prowokowani przez animatora, ci reprezentanci dzielnicy Malakoff!

Gdybym mogła zostać w Paryżu o parę tygodni dłużej, chętnie bym się przyjrzała uważnie posze-rzonym formom środowiskowego kształcenia arty-tycznego, które Guy Kayat stosuje od przeszło dzie-sięciu lat. Coś podobnego, na równie wysokim po-

ziomie, zaczęli robić w Warszawie Halina i Jan Maculscy. Zamarzyło mi się, żeby więcej zwo-
dowych aktorów i reżyserów zechciało stanąć na
czole naszych domów kultury, żeby teatry zawo-
dowe wiązały się organicznie (organizacyjnie) z
ośrodkami upowszechniowymi k.o. Czy nie
przysporzyłoby to teatrowi miłośników?

W teatralnym projekcie mini ustalonym dla
siebie definitywnie, miałam spektakl czel-
godnej Comédie Française, jeden teatrzyk inicjatyw
awangardowych i jeden, na wrywki, teatr umiar-
kowanie współczesny. Nadto coś ekstra sensacyjne-
go, coś takiego, za czym publika szaleje.

Niestety, słynne na obu półkulach widowisko
„Hair” zostało już do cna wyeksploatowane, a na
banalne luksusowe rewie, którym z biegiem cza-
su przybywa nie tyle dowcipu, ile golizny, nie
miałam ochoty... bo i pieniędzy. Chcąc natomiast
zobaczyć spektakl cieszący się powodzeniem u

np., przed ośmiu laty, Teatr Osterwy zaprezen-
tował firmowany imieniem Brechta musical pt.
„Happy end”. Było to żenująco piaskie widowis-
ko, oparte na niewykończonym tekście Brechtow-
skim, opracowanym po śmierci pisarza przez Eli-
sabeth Hauptmann (pseudo — Dorothy Lane), która
w r. 1929, jak podawał nasz program, ściśle z Brech-
tem współpracowała.

Oczywiście „Wesela drobnomieszczańskie” nie
można zaliczyć do podobnych odpadków nieunik-
nionych w procesie twórczym. Napisane w 1919 r.,
wystawione po raz pierwszy w 1926, jest po pro-
stu komedią jeszcze „zieloną”, niedojrzałą dra-
maturgicznie, która zaleca się jednakowoż na
ogół trafną diagnozą charakterologiczną, co wła-
śnie aktorzy francuscy szczęśliwie wykorzystali.
Program spektaklu w „Cyrano” zawierał m. in.
celną charakterystykę postaci. Poza tym „We-
sela drobnomieszczańskie” ukazuje już młode-

Paryż za 110 dolarów (IV)

ZŁE I DOBRE

Maria Bechcyc-Rudnicka

półinteligencji i inteligencji o upodobaniach prze-
ciętnych wybrałam się do teatru „Cyrano” (M.^o
Bastille), gdzie grano wczesną sztukę Brechta
„La noc chez les petits bourgeois” („Die Klein-
bürgerhochzeit”). Wystawiła ją Compagnie Jean-
Pierre Vincent — Jean Jourdeuil, podnosząc do-
brym wykonaniem rangę dramatologiczną rzeczy.

Nazwiska kierowników trupy niewiele powiedzą
naszemu czytelnikowi, egzemplifikują nim tylko
wyczuwany przez mnie intuicyjnie fakt, że ist-
nieje we Francji, poza teatrami subwencjonowa-
nymi, sporo niezależnych zawodowych trup ak-
torskich, o których „firmie” i „profilu” nie nie
wiemy, a które potrafią zdobyć od czasu do cza-
su wyjątkowy sukces, jak to zdarza się nieraz
naszym państwowym teatrom terenowym. Dalej
idących wniosków o randze francuskiego życia
teatralnego w obecnym momencie — nie młala-
bym odważyć „formułować”.

Ala cóż konkretnie o tym „Cyrano”? Na wzrok
— obokurna buda, uwielbiana pamięć auto-
ra „L'Autre monde”, bohatera komedii Rostanda.
Siedział się tam w paltach bez żadnego respektu
dla XVII-wiecznego pisarza i Melpomeny. Nie-
mniej publiczność jest zadowolona: bawi się na
całego za sprawą kunsztu aktorskiego (proszę mi
znaleźć poza Francją wielu aktorów umiających
tak zręcznie, ledwieko prowadzić dialog komedio-
wy). Jeśli nie podzielałam ogólnej wesołości —
mea culpa: drażni mnie wyciąganie z lamusa
slabszych sztuk znakomitych autorów. W Lublinie,

go Bertolta Brechta jako ideologa przyjmują-
cego, po klęsce bawarskiego proletariatu, po-
stawę skrajnie krytyczną wobec ówczesnej rzeczy-
wistości społecznej. Ale wskutek młodocianego
zapału autora i braku doświadczenia dramatur-
gicznego, niewątpliwa zaleta ideowa wpływa za-
skakująco niekorzystnie na niektóre detale fabu-
larne sztuki. Nienawidzę do drobnomieszczaństwa
znalazła tu wyraz w przewrotnym zdeformowaniu
obrazu tradycyjnej uczy weselnej. Wspomniany
program teatralny informuje ciekawie o osobliwej
geniezie utworu.

Razu pewnego, w jednej z knajpek monachij-
skich, podслуchał Brecht opowiadanie jakiegoś je-
gomości uoszonego się zachwytem nad pogod-
nym i dostojnym przebiegiem błęsiady weselnej,
na którą był niedawno proszony. Atoż Brecht za-
dał sobie pytanie, co by się stało, gdyby: Od-
świętna pieczęć została przypalona? Światło elek-
tryczne nawalilo? Dwóch gości zaczęło się gwał-
townie spierać? Jeden z uczujących zaintono-
wawszy piosenkę nie zdołał jej wyśpiewać do
końca? Gdyby pan młody nie poprosił panny mło-
dej do rozpoczęcia tańców? Gdyby okazało się, że
panna młoda jest w ciąży? Gdyby raptem zalamo-
ło się kilka skleconych nieudolnie krzesel? Itd.,
itp. Oczywiście wszystkie te wypadki nastąpiły w
„Weselu drobnomieszczańskim”, one to składają
się na jego akcję.

Roman Szydłowski, w swej niedawno wydanej
fundamentalnej monografii o Bertolcie Brechcie,

Od Din-Dona do Festiwalu Sztuki

Dokończenie ze str. 4—5

nie tej ziemi z instytucji i przedsię-
biorstw kulturalnych. Nie istniały do-
my kultury, księgarnie, dopiero zawią-
zywały się biblioteki publiczne, 8 kin
województwa dysponowało 2350 miej-
scami, a nowy obraz na ekranie przy-
mowano niemal na kłęczkach. Przy
końcu 1946 r. na terenie całej Lu-
belszczyzny zarejestrowano 2 orkiestry
symfoniczne, 8 amatorskich zespołów
kameralnych (m. in. sprawne podobno
„Trio Muzyczne” z Lukowa), 7 zawo-
dowych „orkiestr salonowych” (czyt.
klezmerskich), 21 amatorskich orkiestr
dętych i 10 kapel ludowych (m. in.
Namysłowskiego). Całkowicie finanso-
wany przez państwo „Artos” miał po-
wstać dopiero 1 stycznia 1950 r., przy-
nosząc fabrykom, szkołom, pegeerom
i spółdzielniom produkcyjnym coś w
rodzaju kulturalnej zupy błyskawicz-
nej, częściowo nawet pożywej. Sym-

patia do teatru amatorskiego była też
przedłużeniem międzywojennej orien-
tacji kulturalnej ruchu ludowego i ro-
botniczego, w takim kontekście można
również ujmować szybkie odrodzenie
przedwojennych zespołów chóralnych
i orkiestralnych. Nowo powstałe szko-
ły muzyczne w Zamościu, Chełmie,
Białej Podlaskiej, Lukowie, Krasnym-
stawie i Siedlecach operowały się przeważ-
nie na towarzystwach muzycznych, co
kieruje uwagę na inne środowiska.

Działalność kulturalna na Lubel-
szczyźnie 1945-48 opierała się, właści-
wie bez reszty, na inicjatywie
społecznej. Nieliczna administracja
nie dysponowała odpowiednim portfe-
lem środków materialnych, pieniądze
i siły techniczne kierowano na inne
cele, co wydaje się zrozumiałe, nie wy-
magające komentarzy. Powiatowi refe-
renci kultury i sztuki plasowani byli
na niższych szczeblach hierarchii służ-
bowej, co ograniczało możliwość dzia-
łania i powodując całkiem osobiste
rozterki, jakoś nie zniechęcało więk-
szości tych ludzi do „trwania na poste-

runku”. Można podejrzewać, że na
serio traktowali wyznaczenie wiary sa-
mergo Klosowskiego, który w różnych
wersjach powtarzał: „W innych wy-
działach wystarczy być dobrym urzę-
dnikiem, by praca stała na poziomie, u
nas należy pracę pokochać”. 1 kwietnia
1946 r. kilku referentów musiało opu-
ścić stanowiska, lecz wyłącznie dlatego,
że Ministerstwo Kultury i Sztuki
zlikwidowało, w ramach oszczędności,
odpowiednie etaty w Lubartowie, Pu-
ławach, Radzynie, Tomaszowie, Sied-
lecach, Lukowie i Lublinie — powiecie.
Ale Tadeusz Kwaśniewski, odznaczony
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odro-
dzenia Polski, aż do emerytury piastuje
urząd w Białej Podlaskiej.

W 1946 r. odbył się w Lublinie Fe-
stiwal Sztuki, któremu patronował mi-
nister Władysław Kowalski. Pierwszą
tego typu impreza w Polsce, sumująca
dwuletni dorobek kulturalny regionu,
doczekała się w późniejszych latach
przeróżnych kontynuacji, lecz kto dziś
pamięta, że to wszystko zaczęło się w

Lublinie... 6 października, w dniu uro-
czystej inauguracji festiwalu, otwarto
zarazem Miejską Filharmonię, która
rok później ruszyła w teren, ciesząc się
podobno dwoma tysiącami słuchaczy
w Kraśniku. W godzinach popołudnio-
wych przecięto wstęgi w drzwiach Ro-
botniczego Domu Kultury na Kalinow-
szczyźnie (!), co warto chyba przypom-
nieć. Przy urządzeniu czterdziestego
piątego z kolei RDK w kraju pracowali
robotnicy Zjednoczenia Przemysłu
Skórzanego, którzy w ciężkie mrozy
rozbierali bunkry niemieckie i zasy-
pywali schrony przeciwlotnicze „wokół
pięknego pałacyku na peryferiach mia-
sta”. (Wtedy były to peryferie!). W na-
stępnych dniach odbywały się spe-
ktakle teatralne, koncerty, otwarto wy-
stawy plastyczne i etnograficzne. W
imprezach ośmiodniowego festiwalu
wzięło udział, jak głoszają statystyki,
50 tys. widzów i słuchaczy.

W Festiwalu Sztuki występowały
również zespoły ludowe. Nieco wcześ-
niej odbyły się powiatowe tygodnie
kultury i sztuki. Widać w tym pewien
sens i próbę realizacji podstawowego
hasła owego czasu: „Kultura i sztuka
dla wszystkich!” Widać również dą-
żenie do likwidacji różnego rodzaju ba-
rier, dzielących jeszcze miasto i wieś.
Na tej też linii należy umieścić pierw-
szą w Polsce wystawę plastyków lu-
belskich, którą jesienią następnego ro-
ku ruszyła w objazd, trafiając do kil-
ku miast powiatowych.

Tadeusz Czaba

opowiada fabułę „Kleinbürgerhochzeit”, pisząc m. in.: Najzabawniejszym efektem komediowym tej sztuki jest jednak historia z meblami, które sporządził sam pan młody w chwilach wolnych od pracy. W trakcie uczy meble zaczynają jeden po drugim trząskać i pękać.

Widzowie z kolei pękają ze śmiechu, bo meble pękają. Niemala to pokusa dla dyrekcji teatralnych taka pozycja relaksowa w swej dosłowności, ważka, jak się uczenie pisuje — „w swej warstwie metaforycznej” (ów rozpad mebli, się wie, symbolizuje rozkład burżuazji). No i Brecht — to brzmi dumnie, choć podrzędniejszy.

Rozgadałam się więc szczególnie o spektaklu teatru „Cyrano” w przewidywaniu rychłego pocnodu „Wesela drobnomieszczańskiego” poprzez sceny polskie. A mnie osobiście łamanie krzesel „w dosłowności” nie bawi, zwłaszcza gdy zostały sporządzone w godzinach wolnych od pracy (i coż to za drobnomieszczańskie je robił?); zaś „w warstwie metaforycznej” taki happening weselny wręcz niepokoi, nie żebym się martwiła o rozkładające się w krajach kapitalistycznych mieszczaństwo, drobne czy niedrobne, tylko myślę sobie: skoro sztuka będzie u nas lansowana jako „aktualna” (bo czyż bywa inaczej?), to z chwilą gdy zaczną na scenie pękać krzesła nabyte w MHD, co to ma symbolizować? Pytam: CO?

Ja tu gadu, gadu, a miejsca na szpaltach ubywa, zatem już najbardziej lapidarnie o prezentacji grupy „Signes” w zalecanym mi awangardowym „Biothéâtre”. Namaszczone, monotonne, z bólem nudne odczytywanie in extenso znakomitej noweli Edgara Poe „Złoty skarabeusz”, z rzadka przeplatane żalonymi wokalizami, brzdąkami na prymitywnym instrumencie, amatorską akrobacją (znamy to, znamy!). W małej salce, na czarnych, twardych ławkach, kilkanaście sennych osób. Zapłacili pewno, jak ja, po 13 frs za bilet ulgowy.

Grupka „Znaki” wyklada swoje credo w ogromnym manifeście, niesłychanie górnolotnym i mętnym (Warum einfach, wenn man auch komplizieren kann? — powiedziałby Niemiec). Są przeciw teatrowi pseudowspólnoty, przeciwko improwizacji, są za SLOWEM — to by się im chwaliło — coż kiedy słowo niszczy szarzyznę. Maniacy? Sektanci? Dowiedziałam się z przedwójnej książki Guy Bretona „Les nuits secrètes de Paris”, nabytej w księgarni o ślicznej nazwie „La joie de lire”, że jest obecnie w Paryżu nieprzebrana ilość sekt, które zbawiają świat lub odnawiają sztukę na różne ekstrawaganckie sposoby.

Zgodnie z przewidywaniami, finalny akcent artystyczny moich dwunastu dni paryskich — słynny „Port-Royal” Montherlanta, od lat nie schodzący z afisza Comédie Française, okazał się wspaniały. Co za precyzja w intonacji, mimice, geście, ruchu. Żadnych figielków, żadnych efekcików, kunsztowna prostota wyrazu przy ważkich treściach. Widownia zapelniona po brzegi. Z głębokim skupieniem słuchano słów przeoryszy przesładowanych jansenistek: *Wciąż kryć się ze wszystkim, choć to, co trzeba nam ukrywać, jest cnotą i prawdą... wciąż ci ludzie, którzy myśkują i śledzą; wciąż być na łasce każdego, i to albo głupców, albo nienawistników...* (v. „Dialog” nr 8 z 1957 r.).

Powiedziałam w końcu samej sobie: „Mimo że nie cierpisz szybkościowego wnioskowania, piśnij przecie choć słówko — co myślisz w ogóle o teatrach paryskich?” I wyrzekłam ze śmiertelną powagą: „Są złe i dobre — jak u nas”.

Opuszczałam czarujący Paryż żegnana serdecznie przez nowych przyjaciół. Mówiłam do nich: „Au revoir, chers amis”, a w myślach: Oby nie adieu! Jeszcze nie adieu!



Fot. W. Stepień

Marek Grała

WIECZÓR

przywiłzył się wiatr do chmury
na supel, przywiłzył się ułotnie.
gęsi fruwały po podwórkach
jak biedronki po ogórkach — i moknie dach
spada słońce, przed domem stoi kulawy żuraw.
dumny jak paw, jak żaba.
przez dziurę w płocie przebiegła mysz
ciekawa, jesieni ciekawa.

pies z kotem bawią się w berka,
gruchają gołębie przespane.
poranek, cicho, tak cicho
że to co znane — nieznanie —

nagle przybiegl wieczer.
w spodniach z gwiazd i z księżycem na palcach.
więc śpijmy, niech się nam przysnią
słońce, tańczące walca

Małgorzata Hejwowska

* * *

W cieniu białej jabłoni,
w cieniu pnia białego,
wnoszę skrzydlate modły,
do bożka niewidomego.

Siedzi on w kręgu planet,
różowe podkulił pięty,
patrzy nie widząc
— może dlatego jest uśmiechnięty?

Przesiewa przez palce tłuste,
gwiazdzonej drogi okrucy,
milczy i jest szczęśliwy
— może dlatego, że głuchy?

A ja choć młodsza i głupsza,
już dźwięku śmiechu się wstydzę,
trudno mi nawet próżnować
— może dlatego, że widzę?

I tylko nocą gwiazdzistą,
istnienie pojmuję ciszą,
lecz sen jaszczurczy ma ogon,
— może dlatego, że słyszę?

Waldemar Michalski

CZAS POJEDNANIA

Ścieżką po kamieniach i w las
a burza za nami jak pies
w dole warczą motory.

W takim dniu skarga poety
na nową anatomię rzeczy
jak kwilenie przydaptowanej myszy.

Czas pojednania mija razem z wodogrzmotem
wysychamy — wychodzimy — znowu się różnimy.

LUBELSKA GIEŁDA PIOSENKI

Do trzech razy sztuka

Jacek Grün

O LUBELSKIEJ Giełdzie Piosenki pisałem już kilkakrotnie. Złosił mi twierdzenie, że o kilka razy za dużo. Ale dlaczego nie pisać, skoro impreza ta, najmłodsze dziecko lubelskiej „Estrady”, była pomysłem naprawdę na miarę dużego miasta? Organizacyjna pomoc Rozgłośni Polskiego Radia, udostępnienie studia, nagrywanie wszystkich utworów — to pięćdziesiąt procent sukcesu; a że w naszych warunkach jest to sukces spory, nikt chyba nie wątpli. Wszystkie historie z utrzymaniem przy życiu Lubelskich Spotkań Wokalistów Jazzy, pierwszej cyklicznej imprezy muzycznej, są już raczej ogółowi czytelników znane. Po każdej Giełdzie Piosenki, mam wrażenie, że to już koniec choć są to zupełnie irracjonalne obawy: przed następną natomiast myślę, czy i tym razem wyjdzie? Bo nieraz najgłówniejsze pomysły upadły i ginęły w gąszczu tzw. trudności obiektywnych, a więc — jak pokazuje życie — kłopotów z jakąś tam pięciatka i jakimś tam papierem.

Nikt nie mówi, że LGP jest znakomita, a twierdzenie, jakoby najważniejsze było, iż w ogóle jest, mogło nas satysfakcjonować dwadzieścia lat temu. Niki też z piszących nie ma zamiaru natrząsać się z potknięciami czy niedociągnięciami organizacyjnymi, co zresztą bardzo często jest u nas tak właśnie pojmowane.

Poważnym mankamentem Giełdy Piosenki, i o tym wszyscy wiedzą, jest udział prawie tego samego, drugorzędnego garnituru piosenkarzy. Ale w tak sformułowanym zarzucie tkwi niezrozumienie idei imprezy. Otóż nie jest to przedsięwzięcie piosenkarzy i nie o ewentualną ich ocenę tu idzie, ale PRZEGLĄD NOWYCH PIOSENK, o których przede wszystkim powinno się pisać czy mówić. W przeciwnym bowiem razie nie powinno się dopuszczać powtórnie do konkursu laureatów poprzednich spotkań, a to jest z konsekwencją praktykowane. Dlatego też, skoro jest to impreza para-handlowa (przedsiębiorstwa rozrywkowe „na pniu” kupują piosenki), moż-

na publiczność zostawić wybór piosenkarza, a ocenę piosenek oddać wyjątkowo w ręce komisji artystycznej. Tak by było wygodniej, a właściwie przejrzystej. Bo z jednej strony jury, z drugiej zaś publiczność i stąd częste zamieszanie czy rozważania, która z ocen jest bardziej miarodajna. A znając cechy Polaków łatwo można dojść do wniosku, jak brzmią ostatecznie sformułowane nasze małe werdykty.

Nie rząd nagród i wyróżnień, ale atmosfera fajnej zabawy wytworzy nastrój i znacznie tworzyć tradycję, o którą tak się wszyscy uparcie dopominamy. Tak na marginesie, bo czerwiec już blisko: proponując kilkakrotnie zlikwidowanie w Spotkaniach Wokalistów Jazzy konkursu z nagrodami i komercyjną pompą (której jazz nie zna), taka

właśnie atmosferę miałem na myśli. Może bowiem dojść do tego, że nasze sławy, zdając sobie sprawę z jurorskich niedociągnięć (to bardzo delikatne określenie), na festiwal nie przyjadą, a miernoty żadne byle jakich nagród zwałą nam dziesiątkami i będzie Teksaas...

Odbły się już trzy Giełdy Piosenki i lubelskie środowisko muzyczne wypadło na nich bardzo dobrze. Nie myślę o wykonawcach, ponieważ — jak się rzekło — jest to sprawa drugorzędna. Myślę o duetach kompozytorów, który dopiero te imprezy wydobły z mroków kompletnego zapomnienia Witold Miszczyk i Romuald Lipko jako spółka kompozytorska spróbowała szczęścia we wszystkich Giełdach i... osiągnęli sukces. Przede wszystkim odległość od muzycznych schematów tak charakterystycznych dla

większości naszej piosenkarzkiej twórczości i oryginalny, nieco inny sposób aranżacji, rozbudowane instrumentalnie — to tylko niektóre powody, dla których powinno się zwrócić baczniejszą uwagę na zdolnych twórców. To połączenie twórczości z aranżowaniem wpływa chyba i braku zawodu aranżera, której to profesji jeszcze w naszym przemyśle rozrywkowym nie dopracowaliśmy się, ale też w tym konkretnym przypadku jest to mariaż prawie doskonały. Wszystkie najlepsze utwory minionych imprez pochodzą z podwórka dwójki Miszczyk — Lipko.

Obawy, w związku z tym, może budzić tylko zbyt małe zainteresowanie ze strony czynników odpowiedzialnych i urzędu za poziom artystycznej twórczości czy też rzetelność mecenatu. Każde inne miasto, każda inna instytucja w sposób może nawet perfidny starałaby się wykorzystać do granic możliwości istniejący — nazwijmy to urzędowo — potencjał twórcy. Ale wydaje się, że Lublin i w tej dziedzinie spi snem kamiennym. Jedyne Rozgłoszenie Polskiego Radia dba o należytą reklamę, o właściwie pojęty sposób lansowania naszego dorobku — reszta jest bezustannym milczeniem. Skandale wynikające z kontaktów Lublin — reszta Polskiej niech porostaną we wstydlwym cieniu. A przykłady na lekceważenie wymogów współczesnego przemysłu rozrywkowego (jeśli w ogóle mamy zamiar go tworzyć) można wyliczać i wyliczać...

Lubelskie Giełdy Piosenki, w ich końcowym efekcie, do takich sytuacji nie dopuszczają. Przynajmniej na razie. I bardzo dobrze. A mój prywatny do nich stosunek? Napięty, był to pesymizm, potem sceptycyzm, teraz jest to zwykłe zadowolenie, a chciałbym, by przerodziła się ona w entuzjazm. I sądzę, że jest to zupełnie możliwe.

Kamena str. 7



Fot. W. Stępień

Kartki z dziennika przemyśleń

Bogusław Wróblewski

z prób: „Nadwrażliwość jest dzisiaj dolegliwością, na którą cierpi co druga myśląca jednostka”. Zapytałem: „Czy w takim razie jest to dolegliwość, czy może właśnie taki jest Człowiek...?”

Z opublikowanych do tej pory szkiców krytycznych nie dałoby się złożyć pełnej analizy twórczości Wojaczka. Modne jest natomiast udzielanie informacji o epizodach z jego życia na łamach prasy, na wieczorach autorskich, na spotkaniach poetyckich, „na ucho” w prywatnych rozmowach. Banda pół-literatów i ćwierć-literatów, półczytelników i ćwierćczytelników rozszarpuje na strzępy trupa poety.

Czym poezja Wojaczka jest?

Poezja Wojaczka jest donosem na autora składanym u Wieczności. Jest to „donos” bezwzględny. Podejmuje całokształt ludzkiej egzystencji. Konsekwencją przepuszczenia życia przez pryzmat kreacji poetyckiej jest tutaj nie zakrzywienie (czytaj: wynaturzenie), ale rozszerzenie istnienia na czynniki pierwsze, na szereg barw, poza które nikt, a więc i poeta, nie jest w stanie wyjść i których genezy nie potrafi wyjaśnić.

Pozostaje mu tylko pogłębianie i wyostrzenie odcieni. Intensywność barw jest jednak ograniczona. Całkowite jej wyczerpanie oznacza ostateczną śmierć. Śmierć obecna jest w całym tym procesie, jawi się często jako jedna z „barw egzystencji”. Poeta stale ją dostrzega, podejmuje nieudane próby wdarcia się w głąb niej. Świadomość zagrożenia nadaje zabiegom dokonywanym na egzystencji charakter gorączkowej brutalności.

Być może wskazanie „barw”, które uzyskuje Wojaczek w wyniku rozszczępienia „białego światła” istnienia, poznanie mechanizmu penetracji w te barwy

pozwołoby zbliżyć się do zrozumienia tej i głębokiej poezji, która będąc „donosem dla nas”, przekleństwem i powołaniem poety, przeciętą przejmującą ludzką skargą:

...Ale o co ci chodzi, że tak wciąż się uganiasz
I wciąż nie możesz dobiec do ostatniego zdania

Spójrz, dobra noc się kończy, co twoją nędzę
Głosem pierwszego ptaka dzień z siebie drze

Więc zapomnij o kartce, śpij.

Wtedy ci śmierć napisze Nikt.

Czynników pierwszych istnienia wyodrębnił Wojaczka pięć: miłość, nagość, krew, poezja, śmierć. Miłość, nierozzerwalnie związana z egzystencją występuje w opozycji do śmierci:

...Bądź i nie pytaj, jak Ci się wyplacę

A wtedy darmo weźmiesz najpiękniejszą zabawę
Miłość, która obudzi śpiącą w Tobie śmierć.

Śmierć bowiem istnieje tutaj w dwojakiej, obiektywnej, której śladem w wierszach jest przecucie, i subiektywnej. Ta druga postać jest dla poezji Wojaczka wyjątkowo istotna. Śmierć, która pojawia się razem ze świadomością jej integralną częścią. I w tym sensie Miłość i śmierć występują w pełnej symbiozie:

...Przecież z snu ustalam: miłość niedostłowa
Ale prawdziwa, bo treść jego śmierci...

...Dał się nabrać na język któregoś
Kochajmy się Ty ciepło na nowo śmierć moją
Twoja niech wciąż oddycha ustami mojej

(Kochajmy)

CZY można z życia uczynić poezję? A co to w ogóle jest poezja? Wszak nie tylko Edward Stachura pokrzykiwał w „Miesięczniku Literackim”: „Wszystko jest poezją, każdy jest poetą”. Koncepcji poezji jest chyba tyle, ilu jest poetów, przy czym są to koncepcje oparte na intuicji. Można więc podejmować próby podniesienia własnego ideału życia do rangi własnej koncepcji poezji. Niestety, rzadko spotyka się tak bezpośrednie zespolenie problemów „jak żyć” i „jak pisać”. Jeszcze radsze jest zespolenie rozwiązań tych problemów. Zresztą trudno to sobie wyobrazić u wszystkich piszących. Eksponowanie przez jednostkę emocjonalnych warstw własnej świadomości nie może się odbywać przy każdym posunięciu życiowym, odbywa się natomiast stale w twórczości poetyckiej. Często poeta zyskuje siłę świadomie obnażając własne „słabości”. Oczywiście dotyczy to tylko indywidualności wybitnych. Taką indywidualnością był na tle młodej poezji polskiej Rafał Wojaczek.

Pewien reżyser teatru studenckiego z Krakowa, który zrealizował najlepsze przedstawienie ostatniej Lubelskiej Wiosny Teatralnej, stwierdził w czasie jednej

ZAPEWNE młody literaturoznawca, wykarmiony arabeskami współczesnej humanistyki na usługach komputerów, może nawet się zachwieć, nie wzięwszy do ręki tom M. Piechala zawierający wybór jego artykułów na tematy literackie, napisanych w okresie trzydziestu lat (najwcześniejszy pochodzi z r. 1937). Ale nim uprzedzimy tylko domniemane być może reakcje, przypomnijmy pisarza, który choć z piórem nie rozstał się od lat blisko pięćdziesięciu (jubileusz jego pisarstwa przypada na rok bieżący), który jest i poetą, i prozaikiem, i krytykiem literackim, i badaczem literatury — nie jest jednak znany w stopniu godnym jego pracy i zasług.

Urodził się w Łodzi, choć — jak sam z estymą wspomina — jeszcze jego matka dzieciństwo spędziła na wsi Łódź już od końca XIX w. urasta w naszej kulturze do nieposiedniej roli jednego z ważniejszych ośrodków kulturowych, wydała też liczną grupę poetów, z których kilku sięgnęło literackich wyżyn. Wskazmy jeszcze chociażby Tuwima. Nie bez powodu więc stało się to miasto tuż po wojnie „stolicą” polskiej kultury, bo już w II Rzeczypospolitej do miary poważnego ośrodka kulturowego w centralnej Polsce urastało Tu przed wojną działająca grupa literacka „Meteor”, która przysparzała w swoim czasie „lubelskiego” Czechowicza, udostępniając mu łamy swego periodyku. Piechal już wtedy zorientowany był ideowo ku radykalnemu ruchowi społecznemu, czego wyrazem były jego utwory literackie i publicystyczne. W czasie wojny dzielił poeta los patriotyczny obywateli — był żołnierzem podziemia, po wojnie włączył się w ruch kulturalny. Do niedawna sprawował funkcje zastępcy redaktora naczelnego miesięcznika „Poezja”.

„Żywe źródła” przez naturalnej funkcji popularyzacji wiedzy o polskich pisarzach są chyba próbą całościowego — z perspektywy doświadczeń i nieustannego kontaktu z literaturą — wyprowadzenia sądu o tym, co w naszej kulturze od wieków bije jako żywe, najwartościowsze, czyli inspirowane źródło i jest to przede wszystkim wskazanie „żywych źródeł” samego autora zbioru, jakby próba zdania rachunku ze swoich powinowactw duchowych, protekcji czy po prostu natchnień.

Nad kryteriami intelektualnymi górą w tych szkicach raczej inspiracje emocjonalne — powiada Piechal o swoim zbiorze we wstępie. Jest to słowna ocena, i to wreszcie, sadze, również cenna jego wartość. Gdy — mimo całego szacunku dla nowatorstwa — nowe literaturoznawstwo ostentacyjnie lekceżyli wywlekiem z bezdusznej matematyki, rzecz Piechala tętni prawdziwym życiem w krwiobieg samemu autorowi porzucił. Jakże przy tym dla nostronnych interesująca jest taka osobowa perspektywa

oglądu literatury. Wiele chyba jednak stare, rzekomo wyświechtane, zdanie ma moc o wiele bardziej twórczą niż ośmielną formuła matematyczna, która — nie przecząc — jest zapewne stokrotnie bardziej obiektywna od tradycyjnych postaci sądów o literaturze, ale też na tym się jej życie kończy (bo nie wiem, czy jest bardziej prawdziwa) — w skamieniałości.

Tom szkiców Piechala obejmuje pole bardzo rozległe. Literatura nasza określona została w nim przez uwagi od „praojca poezji polskiej” aż po najbliższych naszym czasom twórców, i jakby pierścieniem zamykają ją dwa biegunowe nazwiska: Rej i Żeromski. Praojciec poezji polskiej i duchowy przywód-

spląskiego pochwała mowy polskiej” również z 1967 r. — Wyspiański zmarł w r. 1907, są to więc artykuły niejako jubileuszowe). Liczba to wymowna wobec obu szkiców o poezji M. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i pojedynczych rozprawkach o pisarstwie innych (prócz wymienionych jeszcze o Sopen Szarzyńskim, Andrzeju Niemojewskim, S. W. Reymoncie i T. Peiperze).

Wydać się wszelako, że Norwid i Wyspiański, mimo swej reprezentacyjnej roli w zbiorze „Żywe źródła”, są tylko (i właśnie) ojcami z wyboru; o wiele bardziej serdecznie widać łączą Piechala z pokoleniem poetów mu ró-

chropawy często się staje od specjalistycznych określeń. Gdy natomiast mówi o pisarzach swego pokolenia (a ekwotowało ono — przypomnijmy — dla siebie i Żeromskiego i Staffa), wywód odciera się prawie o gawędę, choć nigdy w nią nie schodzi z drogi rzetelnej i mądrej a przenikniętej różnorodnymi uczuciami refleksji. Można by z tego wnosić, że mimo wszystko „żywe źródło” literatury i w ogóle kultury bije tuż tuż, u naszych ust. W tym naszym czasie, który jest właśnie rewelacją zarówno przeszłego jak i przyszłego.

Znajdziemy w tej książce niejedną zapomnianą lub przeoczony kwiat prawdziwie piękny, dziecko muzyki, słowa i wyobraźni, ale nade wszystko owocem dojrzałej myśli człowieka, refleksji wywiezionej ze szczerzej troski o to, by narodowe znaczenie uniwersalne, by partycularny i kurkik przemienić w czyste źródło zarówno dla nas jak i innych narodów. Inaczej mówiąc, dla Piechala „żywe” znaczy „etyczne”, bo etyczne jest narodowe i ponadnarodowe. Jest w tym przekonaniu wyraźny ślad rozmyślań nad Norwidem, który bodaj najlepiej tę prawdę u nas znał i wypowiedział. I jest w tym inspiracja Żeromskiego, który bez wątplenia jako twórca jest nade wszystko rewelatorem nakazów etycznych.

W jakim stopniu te „żywe źródła” uległy zamuleniu w naszej pamięci narodowej świadczą może chociażby stosunek współczesnych do Żeromskiego. Owszem, figuruje on w „spisach lektur”, wydawany jest — choć strumyk ten coraz jakby jest niklejszy — ale jak jest rozumiany? Do obywateli już usprawiedliwieni niechciwi żywionej do jego dzieła należy stwierdzenie o „prze-starzaleości języka” Żeromskiego. Judym wyświecony przez współczesnych dalej jest bezdomny, a idea szklanych domów w niejednej głowie kojarzy się bodaj z dziecinna zabawa klockami. Cóż można przeciw „nradom rzek obojętnych”?

Właśnie takie kształki jak Marjana Piechala „Żywe źródła” mogą tu coś zmienić. A więc dla kogo ta książka została złożona? Myślę, że przede wszystkim śledząc po nią powinni młodzie — często nawet nie wiedzący zgola nic w jakiej wodzie zostali obmyci i jakie morze wylania dzisiejsze fale. Odschematyzowane, plastyczne ujęcie literatury polskiej poprzez obrazy kilku jej przedstawicieli może stać prawdziwą pomocą wobec oschłych, rutyniarzskich lub po prostu płytkich o niej sądów, jakich mnogość wokół siebie dostrzegamy. Z załam jednak stwierdzić trzeba, że książka Piechala wydrukowana została w stosunkowo niewielkim nakładzie i pod wszelkim korektorskim bardzo, a bardzo niestarannie.

Niech mi autor „Żywych źródeł” wybaczy, że moja refleksja o jego książce nie ujawniła nawet skromnej cząstki z tego bogactwa, jakie w nią włożył. Jednak nie o recenzji myślałem czytając zbiór jego szkiców. Zresztą materiał to recenzentemu myślowemu niepodatny — zbyt bowiem jest żywy i doniosły.

PIECHALA ŹRÓDŁA ŻYWE

Józef Fert

ca poezji pokolenia Piechala. Do tych pokrewieństw przyznaje się poeta niejednokrotnie, a najczęściej za pośrednictwem wspomnień o poetach swojej generacji (Tuwim, Wierzyński, Lechoń, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Czechowicz). Tyle o tej jawnie rzucającej się w oczy konstrukcji wyboru szkiców.

Centrum literackiego panteonu Piechala zajmują (wnoszę to z licznych nawiązań do twórców w szkicach) im nie poświęconych oraz niejako fascynacji ich geniuszem dokumentowanej i gdzie indziej) Norwid i Wyspiański. Sam tytuł (najobszerniejszego w zbiorze) szkicu poświęconego Norwidowi mówi wiele: „Najbardziej współczesny, czyli Norwid”. Wyspiańskiemu natomiast poświęcił Piechal trzy szkice („Wyspiański i wartości ogólne” z 1937 r., „Wyspiańskiego twórczości istota liryczna” z 1967 i „Wy-

wieśnych, o nich mówi prawie „per ty” (np. szkice „Ten Józef Czechowicz”), odwołania własne z nimi spotkania i objaśnienia swą wypowiedź ciepłem ludzkiej pamięci o ludziach żywych. Tak pisze Piechal o M. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, o J. Tuwimie, K. Wierzyńskim, J. Lechońiu i właśnie J. Czechowiczu. Coś z tego tonu serdecznej pamięci przeniknęło również do szkicu „Skamander i Żeromski”. To jasny ślad. Bo Piechal uczuć nie udaje. I sam język, sam sposób prowadzenia narracji go zdradza. Gdy mówi o pisarzach świetnych, ale do świetnej przeszłości już jednak tylko należących, znać w tym fascynację, nieklamany podziw, zachwyt czy szacunek; podstawaowy ton wpływa tu z racjonalnej refleksji, z głębokiej wiedzy i wrażliwości pisarskiej na dzieło innego pisarza, sam język aż

Nagość, występująca w powiązaniu z Miłością, fascynująca sama w sobie, jest symbolem otwarcia i podatności na działanie z zewnątrz:

...I choć nie wierzę by mógł być ktoś bardziej
otwarty
Dla Ciebie niż ja jestem, zrób coś, otwórz mnie,
rozbiierz
(„Prośba”)

Ale obnażać znaczy także: zmuszać do reakcji. Nagość jest więc jedną z podstawowych form oddziaływania na świat zewnętrzny:

...Na zmarzłych twarzach już czujemy ciepły
blask ich nagości, który topi śniegi...
(„Kłóga”)

Krew to znak tego, co stanowi biologiczną naturę człowieka. Bohater liryczny dąży do całkowitego podporządkowania „istoty biologicznej” „istocie czującej” w ramach tej samej jednostki ludzkiej. Jest to zamach samobójczy i zdegradowana „biologiczność” istnienia przejawia się tym silniej jako źródło uczucia i pierwsza możliwość jego zaspokojenia.

Drugą możliwość polemiki z uczuciem stwarza Poezja. Tym samym zostaje ona włączona w spłot składników egzystencji i stawia wymagania nie tylko Poecie, ale i Człowiekowi. Wymaganiom tym nie sposób sprostać, ale nie można Poezji ze świadomości wyrugować, bo jest jedynym usprawiedliwieniem istnienia i (w przeciwieństwie do Miłości) daje szansę walki ze Śmiercią:

...Czyś wiedział, że gdy nawet
Zażniesz nie zżują mi Cię mrówki minut; że zakną
Śmierć tak, że w rym wkręcona w klatkę tercyny
skona?
(„Czyś wiedział”)

Poezja jest poszukiwaniem prawdy:
...Jest u nas prawda: ty wiesz, co jej składasz
wiesz odżywiony rozpaczliwą krwią
z serdecznej rany.

Być może to poszukiwanie prawdy samo stanowi prawdę najgłębszą.

Określenie „donos do Wiedźności” w odniesieniu do poezji Wojaczka nie wyklucza społecznego adresu tej poezji:

...I piszę wierząc że mi starczy jeszcze znaków
współczucia z każdym bratem co na wysokości
swojego osamotnienia też z wolną wyświecić.
(„Zakon”)

Poeta jest zatem nosicielem dramatu całej grupy uwikłanych „nadwrażliwców”. W wierszu „Inny zakon” stwierdza:

Są jeszcze bracia surowszej reguły
Niż konstytucja głodu, co nas je...

Tworząc posiada Wojacek intuicyjną świadomość obecności tych, którzy czują, być może, bardziej intensywnie, ale „nie mają języka i ust”, by relację o tragedii uczynić jednym z jej wątków.



Fot. W. Stepień

MATERIAL, który stanowi inspirację dla działalności krytycznej Tomasza Burka, nie jest narzucony przez lekturę obowiązującą nadesłanych do recenzji książek. Stanowi to — w konsekwencji — o dużej zawartości myślowej zbioru, który powstaje ze złączenia osobno drukowanych uprzednio szkiców*. Związane z tym jest jednak niebezpieczeństwo uprawiania swoistej „poetyki normatywnej”, trudno jednak nie zauważyć, że stanowisko takie wdzięczniejsze jest dla prezentacji własnego światopoglądu krytyka, dla znacznie bardziej plastycznego oddania (przy uwzględnieniu wszystkich weale nie blahych ograniczeń) zarówno sympatii jak i antypatii artystycznych i światopoglądowych.

Nie będzie to uległość przed magią liczb, jeżeli kilka obecnie się pojawi. Tomasz Burek urodził się w roku 1938, matura — 1955 (napisze on: *Na wiosnę tego roku moje pokolenie zdawało maturę, lecz była to wiosna pierwszych odrodzeńczych fermentów, nieśmiały, lecz już zapowiadających długą, burzliwą wiosnę następnego roku; wychodziliśmy z ławek szkolnych zlaknieni przestrzeni i ożywczego słońca, ale niepewni jeszcze, gdzie ich szukać, wewnętrznie skrępowani.*)

Następne lata to okres poszukiwań, uwieńczony w 1971 roku książką „Zamiast powieści”. Ale już poprzednio debiut (1957) na łamach „Współczesności”, silny wpływ na środowisko młodoliterackie (szczególnie od momentu wejścia do zespołu „Orientacji”).

starczy traktować książki krytycznoliterackiej tak, jak każe zwyczaj. Nie jest ona robionym na gorąco opisem literatury w momencie jej powstawania, samym tylko przewodnikiem po niewidocznych dla laika meandrach, bardziej lub mniej beznamiętnym brykiem do przyszłego, napisanego z perspektywy, uzbrojonego w szacowny aparat pojęciowy, dzieła historyka. Nie jest wprawka do uprawiania „poważnej” działalności pisarskiej, stara się być — jednocześnie — papierkiem lakmusowym sztuki i sztukią samą. Zwraca uwagę, że nie tylko kładzie nacisk na odpowiedź do zadawanych przez bieżącą praktykę pisarską pytań, ale sama pełnoprawne pytania stawia. Jest nie tylko postulatem, ale — zarazem — realizacją postulatu. Jest krytyką totalną, świadomą jednak swoich ograniczeń.

W „Dalej aktualne” czytamy: *współczesna krytyka spełnia swoje zadanie nie gorzej niż w czasach Brzozowskich i Irzykowskich. Tylko że spełnia je inaczej. Struktura jej działalności jest inna — poszarpana, rozłamana długimi okresami milczenia, epizodyczna, „wyspowa”. Naszą rzeczą, nie jest dzisiaj obciążanie krytyki urojonymi winami. Swoje prawdziwe niedopełnienia ona sama zna aż nadto dobrze. (Każdy z wybitnych krytyków współczesnych, nie tylko Wyka, mógłby napisać swoje „Wyznania uduszonego”). Naszą rzeczą jest przemysleć najbardziej twórcze epizody powojennej myśli krytycznej. Pochylić się nad rozdziałami wielkiego dramatu. Podjąć zarzucone wątki. Troszczyć się o idee ciągłości.*

TRADYCJA AKTUALNOŚĆ TRADYCJA

Stanisław Jan Królik

Ożywiona działalność Tomasza Burka w propagowaniu, przypominaniu i kontynuowaniu dzieła Stanisława Brzozowskiego wpłynęła w znacznym stopniu na upowszechnienie pism tego krytyka, ba, doprowadziła do pewnej mody, która Brzozowskiemu przyczyniła nieco szkody, ale o to Burek nie może być obwiniony. Jak to zwykle bywa, krytyk został ukarany za zbyt w Brzozowskim rozeznanie, i musiał się przyglądać, co z prezentacją autora „Legendy Młodej Polski” zrobiono w „Bibliotece Krytyki Współczesnej”. Mimo iż w drugiej książce Tomasza Burka nazwisko Brzozowskiego przywołane jest znacznie częściej niż inne, nie ma sensu szukać szkicu-glosy o wspomnianym dziele. Znalazło się przecież miejsce na podobny w tonie i wartości esej pt. „Musil bez głowy”, jako że jest całkiem zrozumiałe większe znaczenie dla naszej kultury wierności tłumaczenia dzieła Roberta Musila, niż zaprezentowania (wiernego) cząstki z powszechnie niedostępnej twórczości Brzozowskiego. Jest to jednak już sprawa plotki o Brzozowskim i o kolejach losu jego dzieł.

W latach ostatnich byliśmy świadkami, jak powoli, w pełnym przekroju form, dostępowal — może nawet przesadnie — nobilitacji reportaż. Z wielkim też spóźnieniem otrzymaliśmy do ręki spłaszczenia utworów, które potargaly tradycyjne formy narracji prozatorskiej (np. „Ulisses” Joyce’a). Przemiany w ramach gatunków literackich, obumieranie jednych a powstawanie innych, są całkiem naturalne i stare, jak stara jest literatura. Trzeba jednocześnie pamiętać, że częstokroć dawno niby obumarły gatunek pojawiał się niespodziewanie ponownie, by — w innych warunkach społecznych i historycznych — odgrywać swoją rolę z nowym powodzeniem, nawet na zasadzie całkowitego zanegowania funkcji, jaką wcześniej zwykł był spełniać. Ta prawidłowość nie przeszkodzi przecież nawet „znawcom” porównać powieść z lat siedemdziesiątych do „Lalki” Prusa i wykazać wyższość tej ostatniej. A rzecz nie w tym, w jaki sposób będziemy problemy dzisiejsze rejestrowali (ewentualnie kreowali), ale czy trud taki będziemy mieli ochotę — i wreszcie siłę — podjąć.

„Zamiast powieści” niedwuznacznie, począwszy od tytułu, by zakończyć na ostatnim zdaniu, wykazuje przemiany w narracji, jakie zaszły i zachodzą w wieku dwudziestym. Tomasz Burek jednak na tym nie przestaje, z całą konsekwencją prowadzi do tezy, którą zawiera w ocenie pracy Jacka Łukasiewicza pt. „Zagłoba w piekle”: *Ciekawie: czyta się tę książkę, krytyczną przecież — „tylko” krytyczną — jednym tchem, jak żadną inną w młodej literaturze, co dowodzi, że sytuacja młodej literatury, byleby tylko dostatecznie szczerze odczuta i przeanalizowana, staje się, kiedy ją spróbować opisać, o wiele dramatyczniejsza niż sama ta literatura, bardziej „powieściowa” aniżeli wszystkie powieści młodych autorów, bogatsza niż one w kłopotliwe problemy i liczne znaki zapytania, wznioślejsza i zarazem paląca wstydem, o ileż bardziej złożona, jak wielowymiarowa!*

Nie ma sensu traktować uwag powyższych jako cenzurki określonej pozycji wydawniczej jedynie. Zawiera się w nich bowiem postulatowe credo autora, jest również sygnał świadczący, iż nie wy-

Obecnie Tomasz Burek praktycznie milczy od czasu odejścia z redakcji „Nowego Wyrazu”. Po sukcesie „Zamiast powieści” (nagrada im. Piętaka) wrzucony został komplementami do piekła klasyków. Usankcjonowała ten fakt nagroda „Zycia Literackiego” za „Dalej aktualne”. Poddawany jest szufladkowaniu, mimo że oba wybory jego szkiców nie oddają w pełni dorobku autora. Tak więc nie znalazł się w nich referat wygłoszony (w 1966 roku) na Zjeździe Młodych Literatów w Lublinie, a pobudził przeciw Jerzego Putramenta do długiej i kwiecistej odpowiedzi. Wybory prezentują krytyka, który niechętnie wychyla się poza wiek dwudziesty, a pamiętać należy, że wielokrotnie przywoływał on wzory działalności romantyków. Warto wspomnieć choćby Petőfięgo.

Dokonania krytycznoliterackie Burka sytuują swój punkt odniesienia w czasie na wskroś współczesnym. Z tego miejsca rozszerza się pole penetracji, by szukać tradycji, wynajdywać zjawiska bądź mało znane, bądź w znanych odnaleźć nowe, twórcze aspekty. Jeżeli weźmie się to pod uwagę, przestanie dziwić szokująca na pierwszy rzut oka teza, że początku współczesności literatury i sztuki polskiej należy upatrywać w wypadkach 1905 roku, a nie w roku 1918. Trzeba przy tym pamiętać, że znacznie bardziej odległe przelomy następują do dzisiaj kłopoty periodyczny, powodują — mimo znacznie większej perspektywy — niekończące się spory uczonych. Daty ustalone są w sposób umowny, z uprzywilejowaniem faktów pozahistorycznych, natury społecznej i historycznej. Przy takim założeniu spór o datę przelomu staje się — z akademickiej dyskusji — sporem o funkcję literatury i sztuki. Burek — słusznie — postuluje związek działalności artystycznej z życiem społeczeństwa w relacji zwrotnej. A tak na marginesie, to mimo coraz liczniejszych badań, obejmujących zasięgiem literaturę dwudziestego wieku, ciągle przyjmowane są bezkrytycznie uznane kiedyś doraźne sady.

W pisarstwie Tomasza Burka rozważania teoretyczne, analizy postaw i metod krytycznych zajmują miejsce poczesne, zrozumiałe jest to przy uwzględnieniu roli, jaką krytyce przypisuje, jednocześnie — oby jednak ta diagnoza była przedwczesna i mylna — może doprowadzić do absurdalnego rozbudowania warsztatu krytycznego, pod którym do minimum doprowadzona zostanie sprawa literatury, a panować będzie — choćby nawet błyskotliwa — metoda. Tradycja uczy, że ewentualność taka jest możliwa. Nic to, że dzisiaj czytamy wnikliwą analizę metody Artura Sandauera, zamieszczoną w „Dalej aktualne”, jutro część ze zgłoszonych tam wątpliwości może się odnieść do metody Burka, przecie Sandauer poczynił był kiedyś również wiele trafnych spostrzeżeń. Czas ma to do siebie, że przemija, a literatura — nie bacząc na różnorakie kłopoty — ulega ciągłym przemianom i przewartościom.

* Tomasz Burek, „Dalej aktualne”, W-wa 1973 r.

OFICJALNIE mamy w województwie (Rocznik WUS 1973) 69 przedsiębiorstw budowlano-montażowych, których wartość produkcji podstawowej wyniosła 5 330 mln zł. To znaczy, że na jedno przedsiębiorstwo wypadło przeciętnie 73 mln zł. Tylko 78 mln zł! Przeciętne zatrudnienie w każdym z tych mini-przedsiębiorstw wynosiło 322 robotników w tejże produkcji podstawowej. Gdybyśmy te przedsiębiorstwa rozmieścili w tzw. terenie, licząc osobno miasta wydzielone od otaczających je powiatów — otrzymalibyśmy równo po trzy przedsiębiorstwa budowlano-montażowe na każdy powiat. A gdybyśmy przyjrzyli się bliżej różnym grupom czy tzw. ekipom remontowo-budowlanym, od różnych spółdzielni poczynając, poprzez niektóre kółka rolnicze, jednostki handlu czy inne aż do różnych oddziałów wykonawstwa inwestycyjnego — doliczylibyśmy się niewątpliwie po sześć, a może i więcej jednostek, które w każdym powiecie zajmują się realizacją inwestycji.

W przemyśle już dawno wszyscy zrozumieli, że największe efekty daje koncentracja. W budownictwie nie tylko

świętymi tymkami, jest w bardzo małym stopniu wykonywane. 3) najbardziej energiczni i kwalifikowani ludzie z Kraśnika przeniesli się do innych jednostek.

Nie wyszła nam też, albo powiedzmy subtelniej; niezupełnie wyszła koncentracja robót w powiatach zamojskim, hrubieszowskim i krasnostawskim. W ramach profilu robót Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa powiaty te „obsługują” Zamojskie Przedsiębiorstwo Budowlane. Rzecz w tym, że w Zamościu i powiecie zamojskim wykonuje ono roboty wartości 110 mln zł, a w pozostałych dwóch powiatach tylko 60 mln zł łącznie. Nic dziwnego, że podczas wizyty u ojców powiatu krasnostawskiego wysłuchiwałem samych narzeków. Nic dziwnego także, że pod pod okiem tych samych ojców miasta wyrosło chyba pięć „grup remontowo-budowlanych”, niby dla obalzenia handlu czy służby zdrowia, ale parających się bez wyrzutów sumienia także czystymi inwestycjami.

Inż. Mieczysław Duszejko, dyrektor Zamojskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, potwierdza „przerobową” supremację Zamościa nad dwoma pozostałymi powiatami i w komentarzu tylko wzdycha dość bez-

dukacja, wielotonowe samochody w ciągu kilku dni obrócić w pył znacznie jemniej. Równocześnie zaczęła łamać się resory i inne części samochodów. Kierownik fabryki, inż. Edmund Bodziuch, przeczucie nie chce się na ten temat wypowiedzieć, jako że żyje, mieszka i pracuje w Zamościu. Ale faktem jest, że budowany od strony Krasnostawu dojazd nie będzie gotowy na czas. Kiedy zaś ciężkie transporty będą mogły jechać wprost na Tomaszów czy Hrubieszów? O tym można w razie tylko pomarzyć. No, ale drogi budują przedsiębiorstwa innego resortu. Do 15 czerwca fabryka domów ma osiągnąć pełną zdolność produkcyjną, co rocznie oznacza 2100 mieszkań (6300 izb). W praktyce — to jedna płyta co piętnaście minut. Będzie więc co wywozić.

Wszystko, co wyżej, nie oznacza, że za jednym zamachem należy zmienić strukturę organizacyjną budownictwa na Lubelszczyźnie, że zamiast 69 przedsiębiorstw ma powstać 5 lub 8 wielkich kombinatów. Sparzyliśmy się już nieraz, nie tylko w budownictwie, na zbyt pospiesznie przeprowadzanej reorganizacji. Raz w branży, potem w przedsiębiorstwach, z kolei znów w branży i tak w kółko. Z drugiej strony prawda jest, że lubelskie budownictwo w ostatnich latach wykazuje dużą aktywność, że tzw. kął wzrostu zadań jest coraz większy, że usprawnia się zarządzanie, po-

Partykularyzm nie popłaca

Jerzy Dostatni

było, ale wciąż jest odwrotnie. Dwie są tego przyczyny. Pierwsza — ciągły brak tzw. mocy przerobowej w przedsiębiorstwach już istniejących, na co głównym lekarstwem miało być powoływanie nowych przedsiębiorstw. Druga — posiadanie własnego (w skali branży czy powiatu) przedsiębiorstwa umożliwia zahaczenie się o plan z inwestycją, która nie jest ani najpilniejsza, ani dobrze przygotowana.

1 marca Prezydium Rządu omówiło program koncentracji organizacyjnej przedsiębiorstw budowlano-montażowych. Szczegóły mają być dopiero opracowane, ale zasadą będzie tworzenie wielkich kombinatów budowlanych na wzór kombinatów przemysłowych. Średnia wielkość przedsiębiorstwa budownictwa ogólnego ma się obracać w granicach pół miliarda zł rocznego przerobu, co zresztą dotyczy także jednostek podporządkowanych innym niż budownictwo resortom.

Chodzi tu nie tylko o zmniejszenie administracji, która w owych mini-przedsiębiorstwach często, zbyt często, nudzi się okropnie bez widoków na wykonanie czegoś rzeczywiście sensownego. To także marnotrawienie sił inżyniersko-technicznych, rozproszenie — a więc niewykorzystanie sprzętu i ludzi wykonawstwa, chomikowanie w wielu miejscach nadmiernych zapasów materiałowych, rozdrobnienie środków na zaplecza techniczne i warunki socjalno-bytowe itd., itd.

Nie wiem, kiedy i nie mam pojęcia w jakim kierunku pójdzie plan koncentracji w województwie lubelskim. Trzeba powiedzieć, że nie mamy tu najlepszych doświadczeń. Przed rokiem np. zlikwidowano samodzielne Kraśnickie Przedsiębiorstwo Budowlane, zamieniając je na Kierownictwo Grupy Robót Bilgorajskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. W rezultacie faktem jest, że: 1) wartość robót placówki kraśnickiej zmniejszyła się bardzo poważnie, 2) zarówno zaplecze techniczne jak i socjalno-bytowe dawnego przedsiębiorstwa w Kraśniku, niemal jeszcze pachnące

radnie. Margines, na którym może dokonywać rzeczywicie samodzielnego wyboru realizowanych inwestycji, jest dość wąski... Bo w resorcie budownictwa, jak powiada, ekonomia wciąż jeszcze nie jest punktem wyjścia, ale rzeczą wtórną.

Jako przykład podaje pierwszą na Lubelszczyźnie fabrykę domów, której jest inwestorem i wykonawcą, a wkrótce będzie także użytkownikiem. Budowę zrealizowano, jak się to mówi, pionorem, po niecałym roku w części kończy się już rozruch mechaniczny, w części technologiczny, zaangażowano kilku fachowców z zewnątrz, trzon załogi przestawiono w podobnej fabryce domów w Łodzi. Nie tylko produkcja, ale i montaż płyt wymaga fachowców oraz odpowiedniego sprzętu. Fabryka będzie mogła zaopatrzyć w płyty kilka dalszych powiatów.

I tu wylania się pytanie: kto ma z tych płyt montować oomy — każde przedsiębiorstwo sobie, czy też jedna silna jednostka wszystkim? Dyrektor ZPB zaproponował na jakiejś naradzie dyrektorów, że ponieważ on ma już fachowców, że ponieważ właśnie w Zamościu placówka transportowa będzie dysponowała odpowiednim taborem, mogącym przewozić płyty ważące do 5 ton — jego przedsiębiorstwo może podjąć się montażu w tych wszystkich powiatach, które te płyty z fabryki domów będą otrzymywać. To była propozycja, mieszcząca się w pojęciu koncentracji i specjalizacji. Ale nie została przyjęta, więc każdy będzie robił sam sobie bez względu na koszty i jakość montażu. I bez względu na kłopoty z terminowym otrzymaniem ciężkich dźwigów oraz wysokie koszty amortyzacji sprzętu przez dni — oby nie tygodnie — przestoju.

Na marginesie, ale ważnym marginesie, uwaga na temat już m. dz. resortowej kooperacji i koncentracji. Do zamojskiej fabryki dojeżdża się teraz po prowizorycznej, pełnej wzdórz i dołów drodze, wyłożonej wąskimi nasennymi płytami betonowymi. Gdy w kwietniu i w maju rozpocznie się pro-

lepsza organizacja pracy.

Ale to wszystko też nie znaczy, że zbliżamy się do granicy możliwości. Właśnie w budownictwie rezerwy wciąż jeszcze są szczególnie duże. O ile w przemyśle (ogólnie biorąc) rezerwy, nazwane przez ekonomistów prostymi, są raczej na wyczerpaniu, o tyle w budownictwie można z nich czerpać dość długo. Ale mimo to teraz należy przystąpić do szukania i likwidowania rezerw bardziej złożonych. W fabryce domów nowoczesna technologia wymusza nowoczesną organizację pracy. W działalności inwestycyjnej niezwykle szeroki i wciąż wzrastający zakres potrzeb wymusza nowy sposób myślenia, nowe formy zarządzania, nową strukturę organizacyjną. Tylko nie wszyscy chcą to przyjąć do wiadomości już dzisiaj.

Myślę, że w następnym etapie trzeba będzie się zająć tym, co nazywamy wykonawstwem budowlanym w systemie gospodarczym. Wartość robót, wykonywanych w ten sposób w województwie, obraca się w granicach półtora miliarda zł rocznie. Jest to więc w sumie potężny potencjał, tyle że rozdrobniony na chyba dwieście — dokładnej liczby nikt nie zna — rachitycznych oddziałów, ekip, grup, zespołów itp. Prawda, że wykonują one wiele potrzebnych robót, których nie chcą się podjąć większe przedsiębiorstwa. Ale z drugiej strony prawda jest, że wykorzystanie ludzi i narzędzi — bo sprzętu prawie tam nie ma — jest niewspółmiernie niskie, marnotrawstwo materiałów duże, w dodatku materiały te najczęściej pochodzą z puli, przeznaczonej dla użytkowników indywidualnych.

Nie będzie to operacja prosta lecz w pierwszym okresie dla interesów lokalnych może nawet przykra. Ale jeżeli chcemy już nie tylko myśleć, ale i pracować z konkretną perspektywą — trzeba będzie i ją rozwiązać tak, jak tego wymaga interes ogólny. Bo w ostatecznym rachunku partykularyzm nigdy nie popłaca.

WPADE mi niedawno do ręki miżerny tomik poetycki dwu autorów, który ukazał się przeszło dziesięć lat temu pt. „Wierność cieni” i zawiera w sumie dwadzieścia jeden wierszy (dwanaście — Stanisława Weremczuka, dziewięć — Józefa Wiesława Ziębę), zaś nakład jego — egzemplarzy 600 plus 250. Debiutancki tomik poetycki Henryka Kozaka, wydany w roku ubiegłym pt. „W krajobrazie łagodnych słów”, zawiera dwadzieścia sześć wierszy i opublikowany został w nakładzie egzemplarzy 600 plus 262, każdy liczy 30 stron.

Jest to postępowanie niewątpliwie i nawet dziecko obliczy, iż w stosunku do całości dzieła pt. „Wierność cieni” Kozak wygrywa różnicą aż pięciu wierszy (samemu Weremczuka dystansuje Kozak czterdziestoma wierszami, Ziębę — nawet siedemdziesiątą, co się wy-

daje jeszcze bardziej krzepiącej). Gdyby szło o nakład, to Kozak wygrywa różnicą „plus dwanaście egzemplarzy”. Można by teraz porachować, jak Kozak dystansuje panów: Weremczuka i Ziębę w stosunku rocznym, tyle że w tym akurat momencie zabrakło mi już sił, ale problem został postawiony.

Wobec tomiku „W krajobrazie łagodnych słów” dąłoby się sformułować arystokratyczne pytanie: pardon, czy wszak jest tu kto, czy atoli nie? Dzieło to nie stanowi żadnej odpowiedzialnej prezentacji poezji autora, którą znam i nawet lubię. Stanowi natomiast bardzo dobry miernik zainteresowania, jakie towarzyszy młodym poetom na prowincji ze strony czytelników, a może nawet przypadek Kozaka ilustruje tezę, komu i na co w ogóle dzisiaj poezja potrzebna oraz kto ją — poezję — czyta?

Tomik ów, jak i wiele innych, przeczytali z pewnością wydawca i recenzenci, chyba przeczytają najbliżsi (co nie znaczy — najzyczliwsi) koledzy autora po piórze, kilku jego znajomych z pracy i przyjaciół oraz rodzina, po-

NAD KRZNE I W KRZAKI

nadto paru maniaków, którzy czytują wszystko (w tym ze dwu krytyków poezji). Dla ilu z tych ludzi wiersze Kozaka okażą się

w jakikolwiek sposób potrzebne, Bóg raczy wiedzieć.

Gdyby ktoś jednakże chciał się czegoś naprawdę dowiedzieć o poezji Kozaka, autora kilkudziesięciu bez mała wierszy, jednego z najciekawszych młodych poetów mieszkających w Lublinie, nie powinien czytać „W krajobrazie łagodnych słów”. Powinien natomiast poprosić autora, żeby wzięł swój cały dorobek pod pachę, sam zaś prosiaczy mógłby przytłuszczyć jakąś fiaszkę. I tak obaj powirni w czas słonecznego jesiennego popołudnia zasiadł w krzakach nad rzeką Krzną, kiedy w powietrzu drzemia senne zamyslenia. Wtedy jeśli już obaj tam siedzą, Kozak mógłby przeczytać swoje wiersze, a następnie powinien sobie leniwie pogwarzyć i podumać nad przyrodą, nad sensem i bezsensem, nad kobietą i jej przewrotnością, nad dzieciństwem...

Co do mnie, to zamierzam tak zrobić, mimo że przeczytałem „W krajobrazie łagodnych słów”, a może właśnie tym bardziej dlatego. I to jest wszystko, co można dla Kozaka zrobić i dla jego poezji, wcale niemało. Bo dla tomiku Kozaka nie można zrobić nic. Jeśli by wszak szło o ścisłość, to dopóki ukazują się takie „wybory” dzieł, a ja mogę o nich pisać — dla mnie wszystko jest OK. Gdyby jednak miały się ukazywać jeszcze przez następne dziesięć lat, trudno będzie to wytrzymać i ja się w końcu zabiję. I będę zabity.

POCIEJ

PS. Całe to edytorskie niezszeście firmuje Wydawnictwo Lubelskie, aczkolwiek nie powie-działbym, iżby ta oficyna była jego głównym sprawcą.

WIECZÓR Z JASTRUNEM

Dokończenie ze str. 1

myśleń. I obok postulatów zmienności, który jest trafny, a w zastosowaniu owocny, nie mniej poetyckich rezultatów przynosi konsekwencja stylistycznej jednolitości, co nader wyraźnie da się udowodnić na przykładzie Bolesława Leśmiana. I Pawła Valery. I Stefana Mallarmé.

Bo ci dwaj ostatni są bliżsi Jastrunowi przez kulturowy sztafż swej poezji. Leśmian mimo wszystko — mimo bogatych egzystencjonalnych konsekw-

wencji możliwych do wyprowadzenia z jego obrazów — posługiwał się słowem bezpośrednim, wywołanym presją doznania, podczas gdy tamci przemawiali za pośrednictwem intelektualnych topów nagromadzonych latami kultury. Tu jesteśmy bliżej. O twórczości Jastruna krąży obiegowe powiedzonko, że jest to „poezja filologiczna”.

Prawda: czytelnik na ogół nie znajduje w niej uroków świeżości słowa, tej „biologicznej” mocy języka, która działa poza aparaturą pojęciową. Dlatego pozycję Jastruna wyznaczają nie utwory poetyckie, ale eseje na temat filozofii i psychologii tworzenia. Był taki przykład? Owszem, Tadeusz Peiper jako poeta oryginalny pozostawił po

sobie wiersze niewiele znaczące, czasem nawet mało czytelne, natomiast jako teoretyk nowej sztuki zajął pozycję jedną z pierwszych. Analogicznie — nie tyle jest ważne co Jastrun powiedział w wierszu, znacznie ważniejsze jest co powiedział o wierszu. Tomy „Między słowem a milczeniem”, „Poezja i rzeczywistość” czy „Eseje” dają istotną miarę twórcy, którego twórczością jest artystyczna refleksja.

Zadziwiająco, że ten w gruncie rzeczy tradycjonalista tak wiele racji przyznaje poezji najmłodszej, nawet tej spod znaku lingwistycznego czy konceptualistycznego. Ale przyznaje Jastrun — filozof poezji, nie zaś Jastrun — praktyk. Argument, że poezja istnieje,

je wtedy, kiedy wyzwala się z językowych konwencji, może być przekonywający (tylko może być, ponieważ istnieją przykłady dokonani poetyckich poza nowatorstwem formalnym), natomiast jego odwrócenie nie jest możliwe. Nie stawia się kwestii czy młody poeta jest młody. Stawia się — czy dobry. A więc zanegowanie konwencji to dopiero bolesny początek. Bolesny, bo na miejsce odrzuconej należy wstawić nową. Niestety — bez konwencji nie tylko poezja, ale w ogóle mowa jest niemożliwa.

Wieczór w Muzeum Czechowicza był wartościowy przez to, że udostępnił nam kontakt z rezultatami refleksji artystycznej zarówno długotrwałej, jak czynionej z dużym nakładem pasji i erudycji. A zastanawianie się nad twórczością nie jest dzisiaj zjawiskiem nader częstym.

Z. M.

1.

PAMIĘTAM, że przed kilkoma laty, kiedyś mówiło się o tzw. środowisku artystycznym tego miasta, zawsze wypływała banalna historia, z brakiem kabaretów. Ponoś miasto liczy się o tyle, o ile ma dobre kabarety. Ta sprawa urasta zżyłt części do rangi życiowego problemu, jakiegoś irracjonalnego obłędu, przetrwałej, opętanej idei fixe, jakbyśmy nie mieli się rzeczywistości — w Lublinie pełnym dziur i przysięgających, szarych elewacji — czymś innym zająć. Ale gdy pan X wolał w jednej gazecie głosem pełnym, a pan Y, z którym razem piją kawę z rumem, w tym wotaniu go upewnia, wypada rozłożyć ręce, konformistycznym gestem przyznać się do błędu i założyć jeszcze jeden kabaret. Można go ulokować w restauracji „Karaś”. Potem prasa ogólnopolska (a być może nawet warszawska „Literatura”) napisze, że tego jeszcze nie było; Towarzystwo Trzeźwości Transportowców zorganizuje tam konieczne kursokonferencje, a personel knajpy obniży procent sprzedaży alkoholu. Tylko kto tam wyjdzie na swoje?

2.

Była „Klika” i „Kilka” jest nadal. Pokazuje się w kawiarni „Czarcia Łapa”. To jest tak, jakby Sflinkowi ktoś rozdarł tajemniczo uśmiechniętą gębę, tak od ucha do ucha i w ten sposób uślawił zmienić mitologię. Nikt nie podejrzewa „Kilki” aż o takie zamiary, ale każdy się cieszy, że mamy kabaret. Przed rokiem (a może i nadal) w „Czarciej Łapie” jedna pani przygrywała na fortepianie. Teraz przygrywa „Klika”. Ani jedno ani drugie stałym bywałcom kawiarni na dobre nie wyszło. I czy to też nie jest powód do radości? Może? Tylko, że z innego powodu.

3.

Kiedy opuszczaliśmy kino po projekcji „Kabaretu”, pewna starsza pani z leżką w oku wspominała jakieś to przed wojną kabarety bywały. Podobnie jak pewien pan, który po spektaklu „Kilki” oczekiwał rzędu tańczących a mocno rozneglizowanych fordanserek. A może on również pomylił epoki?

4.

Pomysł kabaretowania miewa również „Estrada”. W ogóle nasze przedsiębiorstwo rozrywkowe ma ostatnio pomysły. Hł, hł. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że jakkolwiek by na nie patrzeć, z wszystkich dobrych i złych stron, wszędzie znajdują się uzasadnienia. Ale „Estrada” urodziła kabaret „Rak” i w tym kabarecie idą cienie aluzje skierowane do dyrektora. Jak musi się czuć siedzący na sali dyrektor — nie ma sensu się zastanawiać. Musi się czuć dobrze, skoro uszczypliwa uwaga jest powtarzana na każdym razem, a dyrektor jest ideowym konsultantem programu. „Rak” kokietuje dyrektora, dyrektor kokietuje „Raka”, co jakichś czas wspomina się o Brownie, szczypie Adriańskiego i jego pseudonimy i nie z tego nie wynika. Może gdyby tak te gele fordanserki...?

5.

Ciekawe, że te dwa kabarety prowadzą dialog. W dziwnej rozmowie nie uwzględniła się studenckiej „Łoży 44”, która jest dobra. Ale to, że jest dobra jeszcze niczego nie wyjaśnia. Potrzebny jest do tego dialog. Może być monolog, chociażby taki, jak o lubelskich kabaretach czyli — albo dlatego ich nie ma, albo dlatego są. I jedno i drugie pytanie jest pozabawione sensu. Tak zresztą jak i cała atmosfera owijająca się wokół kabaretów. A dziury w lubelskich ulicach budują bezustanny scenariusz kabaretu, kabaretu jakiego jeszcze nie było.

JAKUB

JEDNAK jesteś ze mną, Puma, tu, tu, i tu, w trzech swiatach na raz: realnym, który unosi twoje lekko rozgrzane ciało; sennym, który dąwiga płótna twoich nocnych widziadeł — jakich? tego nie wiem, bo rankiem nie opowiadasz mi swoich snów; a także tym czarno-białym, realnym i sennym zarazem, w którym kreślę te wciąż jeszcze niedocieczone Mane, Tekel, Fares twojego wywiezionego z zaklęć babki imienia. Nasza historia dla innych tak prosta i pospolita, dla mnie pozostaje wciąż jakąś niezwykłą opowieścią, wyciętą przez pomyslową Szecherezadę do ucha zdumionego Kalifa, opisem blisko tysiąca i jednej naszych nocy miłosnych, w trakcie których odmienniały się tysiąc i jeden raz jak skłonny do żartów dżinn i odmienniając się pozostałaś niezmienną. Spisz, spisz oczywiście, bo przecież trudno od ciebie wymagać, byś wraz ze mną spędzała bezsenne noce i ja chyba już trochę śpię oszołomiony zmęczeniem, i śniąc bezsenne — bo umiem to robić, Puma — rozważam jedną z nie rozstrzygniętych dotąd poetyckich zagadek wszystkich snów: idzie mi o to, czy istoty śnione postrzegają istoty śniące, bo tylko w tym wypadku sen jest czymś w rodzaju rzeczywistości obiektywnej, zamkniętym i na swój sposób samowystarczalnym światem, zdolnym nam w pełni zastąpić dotykalny świat jawy. Wybac mi te nadzwyczaj kruche spekulacje, ale i one muszą być ujawnione, skoro wszystko ma być nazwane. „Wszyscy — słyszą twój zabawny głos — mnie kochają”.

Byłoby zbrodnią, powtarzam, gdyby jedno z nas wyraziło się zbrodniczo, ale byłoby jeszcze większą zbrodnią, gdybyśmy na sobie poprzestali. Dlatego nie dziw się, Puma, że sięgam po pracę jako po coś, co jest w stanie utworzyć z jednej strony jakąś pozytywną strefę ochronną wobec naszego uczucia, a poza tym jest wartością samą w sobie. Nie dziw się, że nie decyduję się żyć tylko dla ciebie, otaczać cię ramieniem, gdy idziemy na lotnisko czy gdzie indziej, przeznaczając cię każdą chwilę mojego czasu, pozostawiając na uboczu innych ludzi i ich sprawy. Z trudnością przychodzą mi niekiedy akty tego odszczepieństwa, ale muszę, muszę koniecznie to czynić. Nie bardzo mam, na przykład, ochotę pisać dzisiejszej nocy, Puma, w dodatku twój lekki sen działa na mnie nieco demoralizująco, ale mobilizując wszystkie możliwe i niemożliwe siły, przymuszam się do tej wyczerpującej w końcu czynności. Oczekiwanie na laskę z nieba, na ową iluminację, która w nikłym tylko stopniu jest naszą zasługą i pojawiając się kiedy chce, odchodzi również kiedy chce, jest może zajęciem wdzięcznym, ale nie wie wszystkich wypadkach przynosi ono spodziewane rezultaty. Mając więc do wyboru nie pisać, albo napisać coś, czego wartością będzie z całą pewnością później kwestionował, wybieram raczej to drugie wyjście. Praktyka uczy bowiem człowieka piszącego, że każda zapisana kartka ma swoją wartość i nawet wówczas, gdy nie zostanie ona wykorzystana natychmiast, sięgnąć można do niej po latach, w chwili, gdy nieoczekiwanie dla mnie

muzeum, tamtędn, zdruzgotany przecięt z kretesem, rozbity na kawałki świat. Dotykalność tego języka. My żyjemy w końcu wśród słów pozostających dla nas często słowami, znamy je, ale nie znajdujemy już dla nich żywego odniesienia w rzeczywistości, natomiast ciotka, która z uwagi na prostotę swoich zajęć ocierała się najpierw o rzeczy, a dopiero później o słowa, doszła do tego, że nawet określenie „jabłko” stało się dla niej na całe życie abstrakcją, a czymś konkretnym były dla niej wyłącznie papierówki, antonówki, koszele i bangkoki, owocujące z nastaniem każdej jesieni w pielęgnowanym przez nią ogrodzie. Tak więc, jeśli ja pod wpływem moich dotychczasowych informatorów, a także za sprawą własnej aktywności, ukulem sobie na temat śmierci mojego ojca kilka mitów i legend, to ciotka zachowała o niej wspomnienie tak przeraźliwie jasne i dotykalne, że z początku gotów byłam nawet nie wierzyć, iż wszystko odbyło się w zrelacjonowany przez nią sposób. Literatura, Puma, jest zatem nie tylko obszarem coraz to nowych odkryć, ale także terenem, gdzie odkrycia te podlegają nieustannej weryfikacji, wszak Kolumb ujawniwszy światu istnienie nowego kontynentu jednocześnie obdarzył ów świat nader mglistym wyobrażeniem na jego temat i trzeba było kolejnych podróży odkrywczych, aby jako tako ustalić jego wciąż jeszcze zresztą szkieletowy obraz. Istnieje literatura, nie ujawniająca tego wysiłku, podsuwająca niejako gotowe i skryształizowane już obrazy, literatura jak gdyby głucha na trud-

Zaledwie powieść Wojciech Roszewski

Ja: „No, wszyscy chyba nie. Taki papież, na przykład”. Ty: „Głuptas jesteś. Papież też mnie kocha. Tylko miłością papieską”. Ja: „A kto najbardziej?” Ty: „Pewien brunet”. Ja: „Przykro mi. Nie jestem brunetem”. Ty: „Boś się jeszcze sobie dobrze nie przypatrzył”. Ja: „Czeka cię zapewne także długa podróż”. Ty: „Jakbyś zgadł. Wybieram się do Moskwy. Właśnie zastanawiałam się jak ci o tym powiedzieć”. Ja: „Po prostu”. Ty: „Bałam się, że będziesz zazdrośny”. Ja: „Gdybym nawet był zazdrośny, to bym ci o tym nie powiedział, po to by wzbudzić w tobie pewne podejrzenia”. Ty: „Jakie?” Ja: „Dlaczego on, u licha, nie jest nic, a nie zazdrośny?” Ty: „Racja. Nieźle sobie widzę radzisz, ale zazdrośny i tak będziesz”. Ja: „Będziesz miała co czytać jak przyjedziesz”. Ty: „No, myślę.” Po każdej takiej rozmowie z tobą, Puma, czuję się trochę jak czyścibut, który wędrując przez pustynię ze swoim kuferkiem nadepnął na kamień, spod którego trysnął gejzer ropy naftowej, czyniąc go milionerem. Jednakże zdajesz sobie chyba sprawę z tego, iż nie mogę całkowicie i bez reszty poddać się owej zacieklej krucjacie wdzięku, radości i pogody, jaką przeciwko mnie od tysiąca i jednej nocy prowadzisz, raz z tego względu, iż podejrzewam, że nikt mnie poza tobą nie kocha, drugi raz dlatego, iż świat, który z takim powodzeniem ozdabiasz samym faktem twojego istnienia, absolutnie na tobie się ani nie zaczyna, ani nie kończy, a ja nie chcę być owym entomologiem w pumpach, który w pogoni za barwnymi motylami zapomniał o twardej prawach dżungli. Na szczęście również ty sama nie jesteś barwnym motylem i to w gruncie rzeczy wyjaśnia sytuację. Nasze uczucie trwa, dotąd wszystko na ogół nam się udaje, ale jestem pewny, Puma, że dalszy bieg życia dorzuci tu dodatkowe momenty, powikłane zdarzenia, jakim będziemy musieli stawiać czoła, słowem, że nie będzie stałe tak jak teraz, tej nocy, o tej godzinie, w tej minucie. Osobliwą koleją rzeczy bolesne dramaty czyhają również na ludzi z jakiegoś tam względu szczęśliwych i nawet uderzają w nich silnie i z większym impetem, niż w tych, którym życie nie ułożyło się po ich myśli. Nie jestem pesymistą, ale, co tu ukrywać, przeraża mnie nieco nie zawiniona zresztą przez nas łatwizna naszego uczucia, to, że wszystko ułożyło się tak nadspodziewanie dobrze między nami, tkwi może jednak we mnie cząstka owego lęku Kierkegaarda wyrażonego w dylemacie — kopenhaski radca stanu czy filozof — nie martwi mnie oczywiście to, że jest dobrze, lecz to, że za sprawą owego dobra możemy zapomnieć, jaką mamy właściwie rolę do odegra-

samego nabiera ona znaczenia i wagi. Wiele dni, może nawet większość, mijają nie pozostawiając żadnego widocznego śladu, wydaje nam się wówczas, iż prowadzimy egzystencję zgola pustą i nieciekawą, albo jak nasza — szczęśliwą, a jednak gromadzimy w tym czasie doświadczenia, pewien surowiec, pewien materiał, który w innym momencie może okazać się bardzo istotny i ważki. Wyobraźnia nasza zderza doświadczenia oderwane od swojego podłoża, inna jakaś władza umysłu łączy doświadczenia dawne z aktualnymi, które pełnią rolę sygnałów wywoławczych — tak było przecież w wypadku Jeziora Wielkiego, kiedy odległy w czasie obraz lotniska złączył się z obrazem jego falującej i płynowanej krzykiem płaków powierzchni i przypomnieli mi o moim powołaniu, o tym że moje zobowiązania wobec ciebie sięgają dalej niż przypuszczałem — i wywiekają na światło dzienne ten osobliwy amalgamat przeszłości i teraźniejszości, decydujący o ciągłości naszego życia. Pamiętasz? Niezłym gościem z zaginionego już świata odwiedziła nas ostatnio, pochowawszy wujka, który niegdyś grzebał zwłoki mojego ojca, ciotka Lucyna. Przywiozła ze sobą wiadomości na pierwszy rzut oka spóźnione o z górą trzydzieści cztery lata, dotyczące owego września trzydziestego dziewiątego roku, kiedy nie umiałem jeszcze niczego nazwać i kiedy bez mojego udziału, niejako nad moją kołyską, dokonywały się tak ważne dla mnie wydarzenia, których tragiczna wymowa skłoniła mnie do sformułowania sądu, iż dobrze się stało, że nie przysłała ze mną na świat w jednym miejscu i w jednym czasie, wiadomości raczej mi znane, lecz nie zabarwione jeszcze światłem osobistego doświadczenia ciotki, jakże odmiennego od doświadczenia innych osób, które mi te ponure sprawy relacjonowały i nawet ty, oddalona w końcu tak odległym przedziałem czasu i przestrzeni, dostrzegłaś to, co stale podkreślam, że przesłaność musimy traktować jako coś niesłychanie żywego. Ciotka Lucyna, dostatecznie posunięta w latach, by nie chłonać w takim stopniu jak my wrażeń nowych, bezpieczna wobec ich inwazji, ocalała dla nas to, do czego my sami nie moglibyśmy nigdy dotrzeć, gdybyśmy nawet postawili się na głowie. I jej język, Puma, język, który wprowadził cię w tak wielkie zdumienie, potoczny i nadzwyczaj poprawny, zawierający jednak pewne urzekające nas i zastanawiające zarazem atawizmy, był przecież językiem, w którego wnętrzu zachował się znacznie lepiej, niż eksponat w dobrze zabezpieczonym

ności i cierpienia samej literatury przedstawiana nam niczym w pełni wiarygodna mapa owego nie spenetrowanego jeszcze do końca kontynentu, a w gruncie rzeczy rojąca się od nieścisłości i pomyłek. Bierzemy ją za dobrą monetę, bo nie znamy świata, jaki odzwierciedla, wierzymy autorowi na słowo lub na podstawie naszych własnych doświadczeń dochodzimy do wniosku, że inaczej być nie może. Nie jestem jej zwolennikiem, bo wolę raczej opisy procesu samej eksploracji, niż mniej lub bardziej dokładne rejestry jej wyników. Być może moje domysły na temat śmierci ojca, złożone na szal, znaczą mniej niż wiedza ciotki na ten temat, ale przecież pozostają one także rzeczywistością i moim obowiązkiem jest w tej lub innej formie je ujawnić. Pamiętasz to zdanie Lewis Carolla, które wywarło na nas tak wielkie wrażenie, że zabawiliśmy się nim przez kilka dni? „Prawda jest to, co powtórzę ci trzy razy. Kochasz mnie? Kocham. No to powtórz mi to jeszcze raz. Kocham. Powtórz jeszcze raz, bo prawda jest to, co powtórzysz mi trzy razy. Kocham. No, teraz już jest wszystko w porządku. A co będzie, jeśli powtórzę ci to jeszcze po raz czwarty? Nic nadzwyczajnego. Dojdę do wniosku, że masz poczucie humoru. W takim razie wiedz, że cię kocham”. Caroll, powiedzmy sobie, żartował, ale późniejsi matematycy potraktowali ten żart poważnie i wykorzystali go konstruując systemy wychwytyjące błędy w maszynach cyfrowych. I my chyba musimy pewne rzeczy powtarzać trzy razy, niekoniecznie zresztą w tej samej wersji, aby mieć pewność, że mówimy prawdę. No i tak to wszystko się kończy. Puma. To znaczy, jestem o tym głęboko przekonany, wcale się nie kończy. Kończąc zaczyna się, bo przecież jest rzeczą jasną, iż bez żadnej obawy o ostateczny rezultat tego zabiegu mógłbym jeszcze raz wrócić do września trzydziestego dziewiątego, do maja siedemdziesiątego, do grudnia siedemdziesiątego pierwszego roku, kiedy to zjadając mrożone śliwki i grając w kości strzegliśmy gmachu Instytutu i opowiedzieć w inny sposób tę samą historię, która nie stałaby się przez to mniej prawdziwą. Dla mnie ważne jest nie tylko to, że te trzy strumienie zbiegły się w jeden nurt, lecz także to, że płyną dalej w rytmie oddechów twojego sennego i mojego bezsennego snu. „I co takiego — mogłabyś zapytać tropem pewnej swojej pobitej na głowę rywalki — tu powstało?” „Powieść. Zaledwie powieść”.

Fragm. powieści „Opis nocy miłosnej”.

ROZPRAWA pokazowa Sądu Powiatowego (III Wydział Karny) w Lublinie na sesji wyjazdowej w Niemcach była wyznaczona na 26 lutego br. godz. 11.30. Sala, przygotowana w hotelu robotniczym Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego, okazała się o wiele za szczupła jak na kilkusetosobowy tłumek zgromadzony przed budynkiem, mimo iż to dzień powszedni, pora pracy i nauki. W ostatniej chwili rozsądnie postanowiono przenieść rozprawę do sali gimnastycznej w szkole podstawowej.

O godz. 12.30 wprowadzono obu oskarżonych. Józef R., lat 24, wykształcenie podstawowe, pochodzenie robotnicze, zamieszkały w Niemcach, zatrudniony w lubelskim „Elektromontażu”. Krzysztof S., lat 21, wykształcenie w zakresie zasadniczej szkoły zawodowej, pochodzenie chłopskie, zamieszkały w pobliskim Nasutowie, nie pracujący. Oskarżeni są o to, że 20 stycznia br. w Krasieninie, działając z pobudek chuligańskich, znieważyli słownie kierowcę-konduktora i dokonali nań czynnej napadzi w czasie, gdy autobus znajdował się w ruchu, czym spowodowali niebezpieczeństwo katastrofy.

Sprawa jest poważna, a problem utrzymania porządku na trasach PKS nie nowy i społecznie nie błahy. Oba nie przyznają się i nie przejmują się, patrzą spokojnie i uważnie na zgromadzonych kolegów, znajomych i krewnych. Każdy z oskarżonych już odsiadywał wyrok z art. 210 § 1 kk: „Kto zabiera w celu przywłaszczenia mienie, używając lub grożąc natychmiastowym użyciem gwałtu na osobie albo doprowadzając człowieka do stanu nieprzytomności lub bezbronności, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3”. Józef R. wyszedł na wolność, po odsiedzeniu całego wyroku, w lipcu 1973, z nienajlepszą opinią zakładu karnego. Krzysztof S. wyszedł w maju 1973, zwolniony warunkowo („przez ostatni rok pobytu w zakładzie był on wielokrotnie nagradzany za aktywny udział w zajęciach k.o. oraz za należyte zdyscyplinowanie”). Sprawa więc dla obu bardzo poważna.

Pierwszy zeznaje kierowca. Krytycznego dnia wyjechał na trasę Lublin — Niemce — Krasienin — Garbów autobusem kursowym nr 36-34 LL. Około godz. 20.30 na przystanku w Niemcach wsiadła grupa młodych ludzi, chłopcy i dziewczęta. Tylko dwie dziewczyny wykupiły bilety. Awanturowali się z pasażerami, którzy zapalili papierosa, przeklinali. Zatrzymał autobus, interweniował grzecznie, nie nie wskórał. Siadł za kierownicę i oświadczył, że bez zatrzymania jedzie do najbliższego posterunku MO. Za mostem w Krasieninie podeszli do niego grupa. Jeden z oskarżonych uderzył go w twarz, drugi założył mu rękę na szyję i on go ugryzł w tę rękę. Musiał zatrzymać wóz i wtedy oni pobili go do nieprzytomności. Bronił się młotkiem do sprawdzania opon. „Złapałem za młotek i myślę: muszę kogoś zaznaczyć, nie ma fady”. Metalowym trzonkiem młotka uderzył Józefa R. w nos (oskarżony dotąd ma czerwoną bliznę). Ocknął się, kiedy w wozie był już tylko jeden pasażer. Obu oskarżonych rozpoznaje jako tych, którzy go bili. Tyle kierowca.

Te zeznania wprowadzają pewne ożywienie na sali, gdzie dotąd, podczas wyjaśnień oskarżonych, było raczej nudnawo, nic z teatru, nic z dramatu. Słonce przepięknie przez wielkie okna, tłum ludzi w kożuchach i zimowych kapotach stojący za młymi plecami, faluje i napiera na pierwszy i jedyny rząd miejsc siedzących. Ludzie, spoceni i pociernieni na twarzach, przebakują:

— Kierowcy często pobierają pieniądze, a biletu nie dają.

— Dlaczego on dopiero po czterech przystankach zaczął się pytać pasażerów o bilety?

— Autobusy spóźniają się, na przystankach nie stają, ludzi nie biorą.

— Gdzie by tu piwa wypić? — wzdycha jakiś młody, bezinteresownie i nie a propos.

— Nie ma to jak wolność, wolność i zdrowie to wszystko — słyszę filozoficzną refleksję w związku chyba z sytuacją oskarżonych.

Ale zeznania kierowcy nie satysfakcjonują sądu. Są sprzeczne z tym, co mówił podczas śledztwa w Lublinie, siedząc naprzeciw prokuratora czy funk-



Fot. M. Kowalik

POKAZ NA WYJEZDZIE

Maciej Podgórski

cjonariusza MO, kiedy za plecami nie było całej wioski Niemce. Wtedy twierdził, że gdy był duszony, wóz poruszał się 40 km/godz., teraz — że około 5 km/godz. i właściwie nie jest pewien, czy to było duszenie, czy tylko wyciągnięcie zza kierownicy. „W zasadzie” nie pamięta obraźliwych słów.

No cóż, proces się skończy, a kierowca nadal będzie musiał tą trasą jeździć. I tak jest z większością świadków. Zanim aresztowano oskarżonych, zatrzymano młodzieńca, który wtedy jechał z nimi autobusem. No więc jechał — powiedział milicjantom — wsiadli w Niemcach całą grupą, bo się wybierali na zabawę do remizy strażackiej w Majdanie Krasieńskim. Był wieczór, niedziela, wolno im, nie? Kierowca chciał jednego z nich wysadzić z autobusu za palenie papierosa i brak biletu, ale nie udało się. Krzysiek był pijany i uderzył kierowcę w twarz, Józek złapał kierowcę za rękę. Samochód stanął. Kierowca, który już podczas poprzedniego postoju wyszedł na środek wozu z młotkiem, teraz zaczął tym narzędziem porządnie szatkować i trafił Krzyska w rękę a Józka w nos. Wtedy Krzysiek kierowcę znowu parę razy w twarz, a Józek wyrwał kierowcy młotek, który potem ktoś zostawił na suporku przed remizą w Majdanie Krasieńskim. Tak zeznawał zaraz następnego dnia po wypadku.

Przed sądem twierdzi, że nikt kierowcy nie bił i nie wie, czy ktoś był pijany. Nikt nie przeklinał. Jechali, mając bilety, choć on sam nie miał. Przedtem zaznawał inaczej, bo miał gorączkę. Jakaś dziewczyna uparcie powtarza, że gdy kierowca z młotkiem chodził po autobusie, wtedy obudził się Krzysiek i krzywo spojrzął na kierowcę, na co ten ostatni powiedział, iż jedzie na MO. To był powód awantury, której jednak w ogóle nie widziała, bo siedziała daleko z tyłu. Częściowo wycofuje się ze swoich zeznań i nauczyciel, i strażak, również wtedy jadący autobusem.

O 16.10 sąd ogłosił pięciominutową przerwę. O 16.35 wznowiono rozprawę, która trwała do około 22.00, przy czym w miarę upływu czasu sala coraz bardziej pustoszała z młodzieży płci męskiej. Już się dowiedzieli, co jest grane, a tu trzeba jeszcze

zobaczyć mecz NRF — Włochy (piłkarski), który akurat TV transmitowała. Toteż druga część rozprawy miała zdecydowanie damski charakter, jako że i przed sądem stanął sznurerek dziewcząt-rolniczek, lat 17—20, zeznających w charakterze świadków.

- Sprawdzał kierowca bilety?
- Sprawdzał.
- Mieli chłopcy bilety?
- Nie wiem, czy mieli.
- Dlaczego kierowca wioził was na milicję?
- Nie wiem, ja bilet miałam.
- Czy świadek widział, żeby ktoś kierowcy ubliżał?
- Nie widziałam.
- Czy słyszała?
- Nie słyszałam.
- Czy widziała, że ktoś młotkiem bił?
- Kierowca się młotkiem zamierzył na Józka, pośrodku autobusu.
- Dlaczego autobus się zatrzymał?
- Zatrzymał się i ja wysiadłam.
- Co działo się w autobusie za mostem w Krasieninie?
- Ja w ogóle nie wiem, gdzie jest ten most.
- Dlaczego świadek inaczej zeznawała w śledztwie?

Świadek milczy. Tak to wyglądało. Wszyscy byli bez obladu i bez nadziei na kolację. Obronca oskarżonych był aktywny, bo to wszystko było mu na rękę. Oskarżyciel był anemiczny jak aspiryna, bo jeszcze nie nadzedł jego czas. Sędzia był spokojny jak kamień i kazał wszystko notować, tylko raz spytał nieco bardziej emocjonalnie, chcąc ustalić, czy oskarżeni działali pod wpływem alkoholu:

— Był tam ktoś trzeźwy, czy wszyscy byli pijani?

— Nie wiem — otrzymał odpowiedź.

Sprawa — jak to się powiada w żargonie prawniczym — zaczęła się rozlać. W tej sytuacji sądowi nie pozostało nic innego, jak ją odroczyć i zarządzić powołanie biegłego, który pomógłby ustalić, czy istotnie istniało niebezpieczeństwo katastrofy w ruchu lądowym, bo ma to istotne znaczenie dla kwalifikacji prawnej czynu, którego dopuścili się oskarżeni.

Ze kierowca nie musiał mieć w ogóle tego dnia, jeszcze przed wypadkiem, przychylnego stosunku do ludzkości, można się domyślać (niech ktoś pojeździ jako kierowca-konduktor na tej trasie!). Ze z taborem PKS nie zawsze jest wesoło, o tym wiemy. Ze kierowca został pobity (i ktoś musiał to zrobić), nie ulega wątpliwości, jest na to świadectwo zakładu medycyny sądowej. Ale przede wszystkim trzeba jak najwięcej organizować takich rozpraw pokazowych w terenie, choćby się z tym nawet wiązały takie kłopoty, jak miało to miejsce w Niemcach. Ci wszyscy młodzi chłopcy i młode dziewczyny, ta cała młodzież poubierana w szerokie „szwedki” krajowej produkcji chałupniczej i ortalionowe kurteczki, ta kawalerka wiejska powinna wiedzieć, że żaden przypadek chuligaństwa nie ujdzie sankcji sądowej. Są przecie trasy PKS, gdzie strach jeździć.

Ale można też na tę sprawę spojrzeć z nieco dalszego dystansu niż przewenja ogólna, realizowana przy pomocy rozpraw pokazowych sądu w terenie. Nie pomogą na dalszą metę rozprawy pokazowe, jeśli nie weźmiemy się za generalną edukację społeczeństwa w zasadach kultury bycia na co dzień, punktualności, wymawiania słów: PRZEPRA-SZAM, DZIĘKUJĘ, PROSZĘ. Jeśli w szkole, gdzie odbywa się rozprawa i gdzie normalnie uczą się małe dzieci, toaleta nie będzie w innym stanie niż jest. Jeśli zwykli ludzie, którzy nigdy nie zasiadają na ławie oskarżonych, rozumieją, iż na salę sądową nie wchodzi się w paltoce czy kożuchach, bo stoją w korytarzu wieszaki. Jeśli w niedzielę wieczorem na wsi nie będzie lepszej atrakcji jak remizyjna zabawa, która naja bene wtedy w Majdanie zakończyła się ogólną bójką towarzyską. Jeśli te wszystkie „jeśli” da się zrealizować, wówczas znacznie łatwiej będzie wyodrębnić i karać przypadki chuligaństwa i może ludzie stracą pobłażliwość dla takich przypadków i fałszywą solidarność wobec swych krajanów.

Jurij Szpitalnyj

HUMORESKA

Od dłuższego czasu nie dawała mi spokoju myśl, żeby napisać humoreskę. Są ludzie, którzy dostrzegają wokół siebie tyle zabawnych sytuacji, piszą o tym i niektórym nawet się udaje. Dlaczego nie spróbować samemu?

Zacząłem rozglądać się za czymś zabawnym. Tak przeszedł jeden dzień, drugi. Szukałem w całym samozaparcie, niestety bez większych rezultatów.

Nagle przypomniałem sobie, że dwa moi przyjaciele ze szkolnych czasów pisywali wiersze i jakoś im to całkiem fajnie wychodziło. W te pędy postanowiłem ich odzukać.

Pierwszy, niestety, dawno wziął rozbrat z literaturą i nie pisywał nic poza podaniami do rady narodowej.

— Daj sobie spokój! — oświadczył ponuro zaraz na wstępie. — Nawet nie zaczęłaś się bawić w pisanie. Z góry będziesz przegrany. Tam — proszę ja ciebie, sami swol. „Cosa nostra”!

Za to drugi szkolny kolega okazał się nie tylko zawodowym literatem, ale w dodatku — humorystą. Bez ceregieli zaprosił do siebie, zaznaczając przy okazji, że jest wielbicielem dobrego wina. Na

domyślności mi nie zbywa, więc idąc do niego zabrałem butelkę „Muskatu”.

Posłuchał mnie, staruszku — wywołał z zapałem przyjaciela, pociągając z kieliszka szlachetny trunk — robię w humorze trudno. Niesłychanie trudno! Ale ja nie poskapię rad staremu koleżce ze szkolnej ławy. Pytasz o radę, o wskazówki — proszę bardzo. Otóż pamiętaj, bratku, cały sekret tej starej jak świat sztuki, prosty jak jajko: obserwujesz, zauważasz, zapamiętujesz... rzucasz na kartkę papieru. Nieskompilowane, co?

Przypomniał mi się, stary, na przykład naszych nauczycieli ze szkoły. Sama radość... A to całe panopticon uniwersyteckie? Zrywać bokki! Albo w pracy: balwan na balwanie! Wreszcie — żona: skończona idiotka!... I tak dalej i tak dalej... Stowem, bierz się, stary, migiem za robotę i niech ci leci!...

Pognałem do domu jak na skrzydłach i dalejże za pióro! Tyle, że wbrew temu, co mówił przyjaciel, zdawałem sobie sprawę, że wokół mnie trudno będzie znaleźć coś naprawdę zabawnego i wobec tego lepiej pogrzebać się w przeszłości.

Ale tutaj zaczęły się problemy. Dokonując przeglądu starych szkolnych nauczycieli, w żadnym nie mogłem dopatrzeć się ani czegoś specjalnie śmiesznego, ani tym bardziej — gbuśtego. Wszyscy byli ludźmi wyjątkowo dobrymi, skromnymi, cierpliwymi i o każdym zachowa-

łem jak najcieplejsze wspomnienia. Po prostu nie potrafiłbym napisać czegośkolwiek zabawnego o moich nauczycielach.

Jeżeli chodzi o lata studiów... tutaj również trudno było wyłowić jakiś zabawny temat, jeżeli nie brać pod uwagę starych jak świat kawałów o bystrych studentach i przyglupich profesorach. Koniec końcem — my uczyliśmy się, oni uczyli nas i co w tym zabawnego? A i czasy były nie do śmiechu.

Następny temat: własne miejsce pracy... Ze zdziwieniem zauważyłem, że nie tylko nie mogłem powiedzieć o swoich kolegach niczego śmiesznego, ale nawet pomysł nie mogę o nich inaczej, jak tylko z najwyższym szacunkiem. Nikt pod drugim nie kopie dołków, wszyscy bez rezerwy poświęcają się pracy, nikt nikomu nie przeszkadza, nie spycha na dalszy plan... Tak. Wszyscy co do jednego pracują w miarę sił dla wspólnego dobra. Żadnej chęci do budowania sobie za życia pomnikowi! Nie, satyry w tym ani na lekarstwo!

Na wspomnienie o rodzinie, serce zalała mi ciepła fala czułości. Ubóstwiam żonę i dzieci. Dostałem za towarzyszkę życia kobietę mądra i pracowitą. Ze swej strony pomagam jej jak mogę, rozumiemy się wzajemnie jak chyba nikt inny. Co się tyczy dzieci — nie uważam ich, jak niektórzy rodzice, za „małych geniuszy”, ale nie są to też dzieci gorsze od innych. Uczą się chodzą do szkoły muzycznej, na basen, jeżdżą na łyżwach, zbierają znaczki pocztowe... Wolnego czasu mają niewiele i nie przydarzają się im nigdy niezwykłe i zabawne historie jak to się dzieje z dziećmi innych pisarzy.

W tej sytuacji pozostali mi już tylko alkoholicy. Jednak tego środowiska nie znam zupełnie a i temat chyba nie najszcześniejszy wybrały. W końcu, o co chodzi? Leczyć by ich, uczyć żyć po nowemu, o co? Z czego tu się śmiać!

I oto nagle oślniła mnie myśl następująca: dlaczego opowiadanie musi być koniecznie śmieszne? Przecież można by opisać moich cudownych nauczycieli i profesorów, mądrych i pracowitych kolegów, sprawiedliwych, idących z duchem czasu przelożonych, ukochaną, choć nie pozbawioną drobnych wad żonę i wesołe dzieci. Proszę, to może być naprawdę interesujące!

Chwyliłem za pióro i od ręki napisałem o wszystkim, co udało mi się zapamiętać. Przeczytałem to jeszcze dwa razy pod kątem stylu i błędów gramatycznych, wręczyłem rękopis maszynistce i kazałem przepisać w czterech egzemplarzach...

Przysnąłem, że nie bez uczucia tremy wchodziłem do gabinetu naczelnego redaktora.

Przeczytawszy uważnie opowiadanie, spojrzął na mnie znad swoich papierów, potem skrzyżował na biurku ręce i zapytał:

— I co? Wszyscy pańscy bohaterowie to tacy porządni ludzie? Tacy mądrzy? Tacy pracowici i rzetelni?

I nie dociekałszy się mojej odpowiedzi, westchnął:

— No cóż to zabawne. To naprawdę bardzo zabawne...

„Litteraturna Gazeta”

Spolszczył M. D.

PROPOZYCJE WYDAWNICTWA LUBELSKIEGO

SZESNASTY rok swej działalności lubelska oficyna wydawnicza zakończyła produkcją ponad 1 mln egzemplarzy w 1973 roku. Wiele z publikowanych tytułów spotkało się z żywym zainteresowaniem czytelników, a książka Jerzego Łojka „Wiek markiza de Sade” stała się wręcz bestsellerem.

Rok bieżący przyniesie dalszy wzrost publikowanych tytułów (ok. 60). Polecamy czytelnikom książkę I. Cabana i E. Machockiego „Zginęli za władzę ludu”, „Kronikę wydarzeń w Lublinie. 22 VII 1944—1 II 1945” T. Chabrosa, „Prasę lubelską 1944—1974” Al. L. Gzelli oraz „Powstanie i umocnienie się władzy ludowej w powiecie zamojskim” Włodzimierza Patrykiewicza. Warto będzie także sięgnąć po XVII tom „Rocznika Lubelskiego”, zawierający materiały o początkach władzy ludowej na Lubelszczyźnie, powstaniu i działalności PPR, o radykalnym ruchu chłopskim i Stronnictwie Demokratycznym, jak również po nowy „Kalendarz Lubelski”, poświęcony całkowicie dobrokowi województwa lubelskiego w okresie 30-lecia oraz 500-lecia Lubelszczyzny. Bardzo cenną pozycją rozszerzającą tematykę trzydziestolecia będzie niewątpliwie praca E. Góry i Z. Jakubowskiego poświęcona działalności MO i SB w walce o utrwalenie władzy ludowej w naszym regionie.

Literaturę faktu prezentować będziemy w nowych tomach reportaży, m. in. I. Gnota pt. „Lubelszczyzna. Dzieje. Ludzie. Krajobrazy” oraz w pracy zbiorowej (materiał konkursowy) pt. „Tylko Wisła płynie, jak płynęła”. Natomiast miłośnikom pamiętnikarstwa szczególnie polecamy „Pamiętniki” Henryka Wiercińskiego, „Zaczęło się w Tobruku” Adama Majewskiego oraz wznowienie wspomnień Józefa Sobiesiaka, a zwolennikom wydawnictw popularnych i sensacyjnych tytuły z serii „Miniatury”, m. in. książkę Włodzimierza Wójcikowskiego „Wojenne losy dzieł Matejki”, która ukaże się już w br.

Ponad 30 tytułów Wydawnictwo Lubelskie przekaże w br. z dziedziny literatury pięknej. Niewątpliwym wydarzeniem w skali ogólnopolskiej będzie zakończenie w ciągu br. 12-tomowej edycji „Pism” Kazimierza A. Jaworskiego. Ostatni z tomów ukaże się pt. „Rzeczy różne wierszem i prozą”, a całość edycji uzyska łączny nakład w wysokości 24 tys. egzemplarzy.

Rok 1974 przyniesie kilka debiutów poetyckich, m. in. wiersze Mariana Kawalki, a miłośnicy twórczości Józefa Czechowicza otrzymają w pięćdziesiątym nakładzie nowy wybór jego utworów w opracowaniu Józefa Zięby. Jedenastu młodych pisarzy lubelskich zaprezentuje swoje opowiadania w tomie zbiorowym pt. „Na widnokręgu”, przygotowanym pod redakcją M. Podgórnego, a inni twórcy lubelscy pozycje samodzielne, m. in. M. Bechczy-Rudnicka „Uchylenie masek”, W. Gralewski „Na krawędzi”, R. Jegorow „Synowie tej ziemi” (cz. II) i Janusz Olezak „Baśń o wielkim Marandzie”. Warto także odnotować fakt zapoczątkowania w br. przez Wydawnictwo Lubelskie edycji przekładów literatury ukraińskiej, którą rozpocznie powieść Iwana Franki pt. „Zachar Berkut”.

Pozycjami, które zasługują na szczególne polecenie miłośnikom Lublina i Lubelszczyzny, są: tom II „Dziejów Lublina”, „Lublin w dokumencie” i szkice Henryka Gawareckiego „O dawnym Lublinie” oraz praca Augusta Grychowskiego „Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich”.

Pamiętamy także o czytelnikach najmłodszych. Z myślą o nich w połowie br. ukaże się piękna książka Ewy Szelburg-Zarembiny „Bardzo dziwne opowieści”, ilustrowana przez Jana M. Szancera, oraz „Szaleństwa panny Ewy” Kornela Makuszyńskiego i książki pisarzy lubelskich, m. in. powieść Adolfa Lekkiego „Przygoda nad siedmioma źródłami”. Opublikowane zostanie także nowe wydanie książeczki dla dzieci Józefa Czechowicza pt. „Jak groch wędrował”.

W roku 30-lecia Polski Ludowej Wydawnictwo Lubelskie przekaże na rynek czytelnicy sześćsetny tytuł, a globalny nakład osiągnie 5,5 miliona egzemplarzy o wartości przekraczającej 100 mln złotych wg cen katalogowych, z jednoczesnym uruchomieniem nowego cyklu wydawniczego pt. „Źródła i materiały do dziejów Lubelszczyzny w Polsce Ludowej”.

R. D.



Rys. A. Stok

Sennik egipski

- 5 -

- Browar — wesoła zabawa
 Brud — oszczerstwo
 Brud zmywać — porzuć złe towarzystwo, w rezultacie przynieść ci duże korzyści
 Brudne rzeczy — niemile sąsiedztwo
 Bruk gładki — zrównoważenie życia
 Bruk nierówny — przykrości
 Brulion — powodzenie w handlu
 Brunet — pewny, życzliwy przyjaciel
 Bruzda — udane spotkanie
 Brwi czarne — poświęcenie
 Brwi golić — nieporozumienie
 Bryczka — goście, nieoczekiwana wizyta
 Bryczką jechać — spotkanie bardzo milej osoby
 Brylant nosić — zaszczyt, poważanie
 Brylant widzieć — zazdrość
 Brylant zgubić — nieszczęście
 Brylantami handlować — udany interes
 Brylantów mieć dużo — świetna przyszłość
 Bryndzę (ser owczy) jeść — niedostatek
 Bryły lodu — daremna prośba
 Brzeg rzeki — dobrobyt
 Brzeg morski — tęsknota
 Brzegiem rzeki, morza iść — niebezpieczeństwo
 Brzoskwinie — ugruntowana pozycja towarzyska
 Brzoza — spotka cię nagana
 Brzuch — mieć boleść — osądzenie o fałsz
 Brzuch chudy — niezadowolenie
 Brzuch otyły — duże zyski
 Buchalter — nudne towarzystwo
 Buda — swary, nieporozumienia
 Budka — przewodniczka
 Budzik — ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, złodziejem
 Bukiet kwiatów — dużo radości
 Bukiet otrzymać — miłość, przywiązanie
 Bukiet układać — dobre widoki na przyszłość
 Bulki — powodzenie w interesach
 Bulki rozdawać — spełnić miłosierny uczynek
 Buława — zaszczyt, wyróżnienie
 Buntować się — spotka cię niesprawiedliwość
 Buraki — zamiary powiodą się
 Buraki jeść — ostra wymiana słów
 Burmistrz — wielkie wymagania, które przyniosą ci szkody
 Bursztyn — szczęście przy tobie
 Burza — złe wieści
 Burza z gradem — straty
 Burza z deszczem — przejściowa kłótnia
 Burza z wiatrem — kłótnia, zdenerwowanie duże
 Burzyć — straty z własnej winy
 Burta (bok okrętu) — uniknięcie niebezpieczeństwa
 Buty dziurawe — pech, choroba bliskich osób
 Buty nowe — podróż
 Buty stare — niepowodzenie
 Butelka napełniona — dobry interes
 Butelka próżna — niepowodzenie przez lekkomyślność
 Butelka — pić z niej — ktoś cię oszuka
 Butelki ustawiać — dobry zarobek
 Butelki poituc — mimowolne wpadnięcie w kłopoty
 Być lekceważonym — uznanie zasług
 Być oczernionym — dobry przyjaciel będzie ci potrzebny
 Być oszukanym — dobra nowina od przyjaciela
 Być smutnym — otrzymasz wesołą nowinę
 Być szczęśliwym — obmowa ludzi zazdrosnych
 Być wesołym — wiadomość o śmierci, chorobie lub złe wieści
 Być wystrojenym — zabawa, która się złe skończy
 Być wdzięcznym — nieporozumienia
 Być zawiedzionym — pragnienia twoje spełnią się
 Bydło tuste — zyski, urodzaj
 Bydło chude — niedostatek, nieurodzaj
 Bydło na pastwisku — dobre interesy
 Byk — nieprzyjemne wiadomości
 Byka kupować — kłótnia
 Byk rozjuszony — erotyczne przygody.

C

- Calun — smutek, rozczarowanie
 Calować się — nowa znajomość
 Calować młodych — radość
 Calować zamężne osoby — niezgoda
 Calować dzieci — zadowolenie
 Calować — być calowanym — fałszywy człowiek
 Cap — przeciwności w życiu
 Capstrzyk — wesoła zabawa
 Ceber — złe stosunki z sąsiadami
 Cebula — łyż i troski
 Cebulę jeść — oszuka cię jakiś nieznajomy
 Cech — strata czasu
 Cegły — przewodniczka
 Cegielnia — znajomość z ustosunkowaną osobą
 Cegły spadające — przykra rozmowa ze zwierzchnikiem
 Cela więzienna — strzeż się złych podszeptów
 Cela zakonna — spokojna przyszłość
 Cement — trwała miłość, trwała przyjaźń
 Cenne rzeczy oglądać — goście narobią ci szkody
 Cennik — niepomyślne wiadomości; sprawy podatkowe i inne niepomyślne sprawy
 Centrum — traflę — dojście do celu
 Cepy — złe małżeństwo, zły przyjaciel — sąsiad

Dalszy ciąg nastąpi

Kultura 1974

Literatura

Na początku marca odbyło się w Pradze Posiedzenie Prezydium Zarządu Głównego Związków Pisarzy Krajów Socjalistycznych. W delegacji polskiej uczestniczyli: J. Putrament, J. M. Gligas i J. Krowczyński.

24-25 maja odbędzie się w Łodzi IX Ogólnopolski Festiwal Poezji. Przewiduje się przyznanie nagród za wybitny tom poetycki, tom poezji patriotycznej oraz debiutu poetyckiego. Równocześnie ogłoszono konkurs na utwor poetycki o tematyce dowolnej dla członków ZLP, KKMP, Kół Młodych i innych klubów poetyckich. Teksty należy nadsyłać do 15 kwietnia do Łódzkiego Domu Kultury, ul. Traugutta 13.

Państwowe Wydawnictwa Naukowe przekazały do drukarni „Przewodnik literatury polskiej”, opracowany przez grono fachowców pod kierunkiem prof. dra Juliana Krzyżanowskiego.

Ponad 100 spotkań z 70 pisarzami warszawskimi zorganizowały placówki kulturalne Mazowsza w ramach Kurpiowskich Dni Literatury.

Nakładem Wydawnictwa MON ukazał się wkrótce nowa powieść Eugeniusza Pauksty pt. „Zawieszona ta ziemia”. Akcja toczy się w latach 1968-1970. Autor skończył także powieść dla młodzieży starszej.

W ostatnich dwóch latach przetłumaczono na język czeski i słowacki 144 książki literatów polskich, a ich łączny nakład w... niósł 2 mln egzemplarzy. W tym samym czasie przetłumaczono 20 książek dla dzieci, nakłady przekroczyły łącznie 1,9 tys. egzemplarzy.

Belgijskie wydawnictwo „Editions Rencontre” rozpoczęło edycję wszystkich utworów Simone de Beauvoir. Pisarka ta jest z pochodzenia Belgką (nie Francuzką) i w tym kraju debiutowała jako dziennikarka.

Francuskie czasopismo „Europe” zostało w całości poświęcone poecie chilijskiemu Pablo Nerudzie.

Teatr

Z okazji XV Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu ogłoszono konkurs otwarty na pełnoaspektowy utwór dramatyczny, możliwie podwójny tematycznie współczesnej. Prace w trzech egzemplarzach należy nadsyłać do 15 listopada br. do Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu miasta Wrocławia, Rynek - Ratusz 24, kod 50-101. I nagroda 30 tys. zł, II - 20 tys. zł, III - 15 tys. zł.

W najbliższych dniach warszawski Teatr Dramatyczny wystąpi z polską prapremierą (na scenie zawodowej) sztuki Gombrowicza „Słub”. Reżyseruje Jerzy Jarocki, wystąpią m. in.: R. Hanin, J. Nowak, Zb. Zapasiewicz, W. Pokora, Z. Rysiówna, D. Szarlarska, W. Golas.

W krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego odbyła się polska prapremiera ostatniej sztuki Bertolta Brechta „Turandot czyli kongres wybiełaczy”. Reżyserował Jerzy Krasowski.

Ernest Bryll, na podstawie książki o Rumcajsie słowackiego autora Vaclava Ctvrtka, wraz z Katarzyną Gaertner napisał sztukę sceniczną dla dzieci, graną z olbrzymim powodzeniem w warszawskim Teatrze Polskim.

W Genewie odbyła się światowa prapremiera nowej sztuki Mrożka pt. „L'abbatoir” (Rzeźnia).

W okresie powojennym w Czechosłowacji występowały 43 polskie zespoły teatralne, a tamtejsze teatry wystawiły 143 premiery polskich sztuk. W Polsce występowało 38 zespołów teatralnych naszych południowych sąsiadów, a na naszych scenach wystawiono 143 premiery autorów czeskich i słowackich.

Sztuka

„Szpilki” przyznały doroczne nagrody: w dziale karykatury społeczno-politycznej - „Złotą Szpil-

kę” Jerzemu Dudzie-Gracowi, w dziale rysunku obyczajowo-humorystycznego Andrzejowi Czesakowi, „Srebrne Szpilki” otrzymał: J. Bohdanowicz i E. Lutczyn.

„Brazowy” A. Wolos i A. Dudziński. Natomiast „Złota Szpilka z wawrzynem” otrzymał Jerzy Srokowski.

Ponad tysiąc autorów, w tym 83 zagranicznych z 43 krajów, złożyło 2168 prac na V Międzynarodowe Biennale Plakatu, które zostanie otwarte 3 czerwca w warszawskiej Zachęcie. Ekspozycja obejmuje 750 prac.

W latach 1945-1972 eksponowano w Polsce 321 różnego rodzaju wystaw plastyki czeskiej i słowackiej. My pokazaliśmy w CSRS 203 ekspozycje polskich twórców.

W warszawskim Muzeum Sportu i Turystyki czynna jest wystawa, poświęcona ze sprzedaży, 303 prac plastycznych o tematyce sportowej.

W stolicy NRD eksponowane są dwie wystawy plastyk polskich: prezesa ZPAP Janusza Kaczmarskiego i Albina Henryka Tomaszewskiego.

Muzyka

W Operze Wrocławskiej odbyła się prapremiera opery tamtejszego kompozytora Ryszarda Bukowskiego pt. „Pierścienie wielkiej damy” według sztuki Cypriana Kamila Norwida. Libretto opracowała Maria Straszewska, która zarazem reżyserowała operę.

Klub Za Na Mer w Kamieniu Pomorskim (ul. Świerczewskiego) ogłosił konkurs na piosenkę dla dzieci na głos i fortepian lub małe zespoły. Prace (moty plus 5 odbitek tekstu) należy przesyłać do 25 maja br.

„Śpiewają teraz wszyscy - aktorzy, amatorzy, niemal każdy kto stanie przed kamerą lub mikrofonem. Kolosalna praca, jakiej wymaga prawdziwe przygotowanie się do występu, nie jest w zbyt dużej mierze - powiedział smętnie w wywiadzie dla „Trybuny Ludu” znakomity baryton Andrzej Hiołski.

W Wiedniu wystawiono nie graną od prapremiery przed 129 laty operę Verdiego „Luca Miller”. Jest to adaptacja „Intrygi i miłości” Schillera.

Powieść Priestleya „The Good Companions” o młodej Angielce, która zwiedza Anglię z wędrowną trupą teatralną, została przerobio-

na musical. Muzykę napisał główny dyrygent Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej, Andre Previn.

Film i telewizja

Z okazji premiery „Zycia rodzinnego” w ZSRR dwutygodnik „Sowietaki Ekran” zamieścił duży artykuł o aktorach Maji Komorowskiej.

Przez kilka miesięcy, w każdy poniedziałek, telewizja NRD nadaje filmy polskie z okazji XXX-lecia PRL. Na początek pokazano „Celulozę” reż. J. Kawalerowicza.

Reżyser francuski Denis de La Patouilliere realizuje film o celiibacie. Do współpracy zaangażował pierwszego żonatego księdza w tym kraju.

Aktor amerykański Lorne Greene od lat hoduje 20 koni. Twierdzi, że nauczył się z nimi obchodzić dopiero grając rolę Bena Cartwrighta w serialu „Bonanza”.

Reżyser Guy Casaril kończy film o Edith Piaf pt. „Mome Piaf”. W roli słynnej piosenkarki debiutuje aktorka Brigitte Arlet (149 cm wzrostu).

W Moskwie rozpoczęto wyświetlanie filmu „Milczenie profesora Ivensa” w reżyserii B. Mielnikowa z S. Bondarczukiem w roli głównej. Film opowiada o spotkaniu mieszkańców Ziemi z przedstawicielami cywilizacji z planecie Orante.

Telewizja francuska nadaje trzytygodniowy serial „Kopernik” Petelskich. Zapowiadano go jako dzieło „ostanowiącej jedno z wiekzych osiągnięć filmu historycznego w powojennej Polsce”.

Kinematografia w Syrii dopiero się rozwija. Roczna produkcja obejmuje zaledwie trzy filmy fabularne i dwadzieścia dokumentalnych.

Różne

Zespół „Siask” przebywa na dwumiesięcznym tournée w Australii i Nowej Zelandii. Program obejmuje 45 koncertów.

Mamy w kraju 15 wyższych uczelni artystycznych. Z tego: siedem muzycznych - 1750 studentów, sześć plastycznych - 2500 studentów, dwie teatralne oraz jedną teatralno-filmową - 600 studentów. Kadra naukowa obejmuje 1450 pracowników, w tym 23 studentów zwyczajnych i 71 nadzwyczajnych oraz 315 docentów.

Na początku kwietnia odbędzie się w opinii kolegium Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa i Wy-

szezo i Techniki i posiedzenie Prezydium Zarządu Głównego SZSP w sprawie stworzenia Instytucjonalnych podstaw działalności kulturalnej na wyższych uczelniach.

W Poznaniu montuje się aparat do widowiska „Światło i dźwięk”, którego centrum będzie renesansowy Batusz.

W Finlandii rozpoczynają się trwające dwa tygodnie „Dni Kultury Polskiej”. Wystąpią m. in.: Polski Teatr Tańca z Poznania, teatr „Ministora” z Gdańska, K. Kulka, P. Paleczny, M. Rodowicz, i Cz. Niemen. Odbędzie się też różnego rodzaju wystawy.

Z inicjatywy Polonii otwarto w Montrealu Kanadyjsko-Polskie Centrum Kulturalne. Obejmuje ono bibliotekę, salę dyskusyjną, koncertową i kulturalną, muzeum oraz galerię sztuki.

43 przedstawienia dramatyczne, 37 koncertów i 22 widowiska folklorystyczne obejmie tegoroczne „Dubrownickie lato 1974”, organizowane już po raz 25. Jak zwykle gwóźdźmiem imprezy będzie „Hamlet”, grany w zachowanej ze wczesnego średniowiecza twierdzy.

W Dortmundzie odbyły się wielkie demonstracje mieszkańców przeciwko zamierzonemu przez władze miejskie zamknięciu teatru, zbudowanego w 1966 r. kosztem 40 mln marek. Władze miejskie nie chcą pokrywać deficytu oraz grożą zwolnieniem 300 aktorów i 500 pracowników administracyjno-technicznych.

Lubliniana

Przeszło miesiąc trwało tournée Zespołu Tańca Ludowego UMCS w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Odbyło się 11 koncertów - w tym jeden w siedzibie ONZ na rzecz dotkniętej katastrofalną suszą ludności krajów afrykańskich.

Nowym kierownikiem baletu, solistą i choreografem w Teatrze Muzycznym został Jerzy Wasilowski, który przeniósł się tu z Gdyni wraz z żoną Grażyną, która także występuje w Opercie, oraz tańcerzem Kazimierzem Najsem.

Kolejny nowy polski film, którego akcja toczy się na Lubelszczyźnie, to „Nagrody i odznaczenia” reż. Jana Łomnickiego. Grają m. in. M. Rayzacher, W. Dębicki, K. Kalczyński, B. Wrzesińska.

Na początku maja odbędzie się w Lublinie ogólnopolski konkurs teatrów studenckich, a następnie w Warszawie prezentacja debiutów studenckich we wszystkich dziedzinach sztuki.

notki

Mam szczęście w różnych losowaniach. Niestety nie w Toto-Lotka lub loterii państwowej, ale z całkiem innych okazji. Najpierw odwiedzały mnie młode i miłe panie z Woj. Urzędu Statystycznego i zadawały mi różne pytania, bo właśnie mnie wylosowano do jakichś tam badań. Teraz widocznie wylosowała mnie poczta, bo po każdej przesyłce pieniężnej otrzymuję drukowaną ankietę. Myślałem, że chodzi tu nie tylko o sprawdzenie, czy przesyłkę otrzymałem, ale - kiedy ją otrzymałem. Widocznie jednak na poczcie czas się nie liczy. Niedawno jednego dnia o tej samej godzinie otrzymałem dwa przekazy z Warszawy, jeden wędrował do mnie dobie, drugi pięć. Uczciwie to napisałem na ankiecie, chociaż takiej rubryki tam nie było, ale poczta nawet się nie odezwiała.

Jeżeli komuś się wydaje, że PKO bardzo dba o klientów tzw. systematycznego oszczędzania, to się myli. Na początku lutego chciałem złożyć taką książeczkę, ale odeszedłem z kwitkiem, bo książeczek zabrakło. Potem wpłaciłem na zwykły przekaz, w połowie marca przyszedłem po raz drugi - i książeczek wciąż jeszcze nie było. Wpłaciłem na drugi kwitek i martwię się co będzie, jeżeli jeden z tych kwitków zagubią.

Zresztą ze sklepem Foto-Optyki przy Krakowskim Przedmieściu 12 mam jeszcze gorsze doświadczenia. Jeszcze we wrześniu odebrałem nowe okulary, ale bez futerału - bo go nie było. Przychodziłem tam kilkanaście razy - bez skutku. Futerał otrzymałem dopiero po pół roku - w marcu. A kosztuje wszystkiego trzy złote. Mała rzecz a też wstyd.

3 marca wieczorem telewizja nadawała film Bergmana „Siódma pieczęć”. Ponieważ - jak się to często zdarza - tekst polski był mocno zagłuszony przez zbyt mało wyciszony głos aktorów, a języka szwedzkiego nie znam - postanowiłem interweniować. Zatelefonowałem do naszej stacji przekładkowej pod nr 623-39. Urzędujący (bo chyba nie - pracujący) tam

mężczyzna odezwał mnie do Warszawy, bo wprawdzie on ma bezpośrednie połączenie z Warszawą, ale nie wie, gdzie interweniować, więc niech ja sobie poszukam kogo trzeba. Na pytanie, czy mogę zatelefonować do prezesa Szczepańskiego - pracownik telewizji zapisał zdziwiony: a kto to jest prezes Szczepański? Nie wyjaśniłem, a teraz mam wyrzuty sumienia.

Są w Lublinie bardzo dziwna ulica. Np. Junoszy - trzy razy zafaluje się pod kątem prostym, a wciąż nazywa się ulicą Junoszy. Albo Ślawińskiego - niby prosta, ale ma odnogę ze schodami do Dolnej 3 Maja - i też wciąż nazywa się ulicą Ślawińskiego. I w ten sposób ktoś mniej znający Lublin może godzinami szukać uciążliwego domu. Zwłaszcza że na tej odnodze ul. Ślawińskiego wszystkie numery są zerwane.

O wypadku samochodowym na ul. Lubartowskiej „Jur” napisał („Kurier Lubelski” nr 59), że zderzyły się ciężarowy Jelcz z autobusem PKS. Zaraz pod tym było zdjęcie. J. Trembeckiego, a podpis głosił, że zderzyły się Skoda i San.

„Sztandar Ludu” w nr. 80 przyniósł obszerną wiadomość na pierwszej stronie pod dużym tytułem: „Wkrótce pierwsze elementy z Fabryki Domów w Zamościu - Najnowocześniejsza na Lubelszczyźnie”. Zamojska fabryka domów jest rzeczywiście duża, ale to jeszcze nie powód, aby słowa te pisać z dużej litery. Po drugie - trudno przecież mówić o najnowocześniejszej na Lubelszczyźnie, jeżeli jest to pierwsza i jak dotąd jedyna w naszym województwie.

I jeszcze raz o telewizji. Od kilku tygodni na małych ekranach rano, w południe, po południu, wieczorem i w nocy króluje sport. Narciarstwo, boks, kolarstwo, piłka ręczna, łyżwiarstwo i niemal wszystkie inne dyscypliny. W dodatku komentujący wiele imprez red. Dyla ma fatalną wymowę - jedne sylaby wymawia głośno, następne półszepceniem, trzecie jakby potyka i w rezultacie połowy nie można zrozumieć. W tych transmisjach sportowych dochodzi już do szaleństwa: najpierw nadaje się jakieś zawody w czołbie, potem w wieczornym magazynie obszernie wyjątki, a na dodatek w poniedziałki jeszcze raz. Tymczasem zniknął „Pegaz”, nie ma już ciekawych „Rozmów z piórami”, a w ogóle audycje kulturalne ukazują się rzadko i jakby ukradkiem...

ekran i wiedz

„2001: Odyseja Kosmiczna”

STANLEY Kubrick należy do tych reżyserów, którzy doskonale sprawdzają się w każdym gatunku filmowym niezależnie od tego, czy będzie to historia z życia starożytnych bohaterów, współczesny dramat obyczajowy, drażliwe spojrzenie na dzisiejszą rzeczywistość czy też... wizja dalekiej przyszłości. Inni latami goskonalą warstwą pod okiem doświadczonego twórcy, specjalistów od obrazów batalistycznych lub kryminalnych „dreszczowców”, zanim zdecydują się na samodzielna pracę; on sięga po prosty po interesujący go temat i jakby bez najmniejszego wysiłku tworzy dzieło świeżości i intrygujące.

Urodzony czterdzieści cztery lata temu w Nowym Jorku, nie kończył żadnej szkoły filmowej, a karierę rozpoczynał od pracy fotoreportera w czasopiśmie „Look”. Wkrótce potem, mając 21 lat, nakręcił dwa pierwsze filmy krótkometrażowe, a w dwa lata później film fabularny „Fear and Desire”, opowieść o grupie lotników zestrzelonych ze linii frontu. Już wtedy dał się poznać jako człowiek bacznie obserwujący i rejestrujący na taśmie filmowej tematy - najczęściej bardzo kontrowersyjnej - nurtujące społeczeństwo, w którym przyszło mu żyć. Raz był to realistyczny obraz nowojorskich kręgów przestępczych, innym razem protest przeciw wojnie (np. „Ścieżki chwały”), zakazane przez cenzurę francuską, kiedy indziej jeszcze - podjęcie skomplikowanych problemów moralności, zboczeń seksualnych. Jak na przykład „Lolita”, według głośnej powieści Nabokowa.

Swoją pozycję jednego z najciekawszych reżyserów amerykańskich ugruntował ostentacyjnie rewelacyjną „Mechaniczną pomarańczą”, filmem, w którym z całą bezwzględnością ukazał gwałt i przemoc rządzących współczesnymi społeczeństwami zachodnimi i wpływ, jakie mają one na kształtowanie się postaw psychicznych, moralnych i obyczajowych tamtejszej młodzieży. Ale trzy lata wcześniej, w 1968 r., ów sukces został poprzedzony jeszcze roz-

głosem. Jaki przyniósł mu film zatyłowany „2001: Odyseja kosmiczna”, film-gigant w kolorze i stereofonii - filozoficzna przypowieść fantastyczno-naukowa. Była jak dotąd szczytowym osiągnięciem filmów z gatunku „science-fiction”.

Ogromny postęp w dziedzinie badania Kosmosu, rozwój lotów kosmicznych zapoczątkowanych przez Gagarina, a uświetnionych lądowaniem ludzi na Księżycu, stwarza zapotrzebowanie widzów na filmy „przyszłościowe”, ale zarazem - dzięki dość powszechnej, choćby barzo nawet ogólnej wiedzy na ten temat - stawia przed reżyserami i producentami wyjątkowo trudne zadania.

Dzisiaj na filmy z gatunku „fantasy-fiction”, japońskie opowieści o „Godzilli” i „Bedzie” prowadzi się małe dzieci, a słyna przed dzieśnięciem laty angielska „Zemsta Kosmosu” może już tylko budzić uśmiech politowania. Publiczność żąda konkretnych popartych naukowymi wyliczeniami. Kto obserwuje niemal na co dzień za pośrednictwem telewizji autentyczne pojazdy kosmiczne i autentycznych kosmonautów, chce to samo obejrzeć w opowieści filmowej, tylko że w jeszcze bardziej skomplikowanym, bardziej wielokrotnym wymiarze.

Dlatego filmy tego rodzaju wymagają nie tylko ogromnego zaplecza technicznego, ale przede wszystkim - finansowego. „2001: Odyseja kosmiczna” powstała w okresie najbardziej nasilonych przygotowań do lądowania na Księżycu. Jej realizacja kosztowała ogromne sumy, a konsultantami filmu byli wybitni fachowcy od lotów kosmicznych. Nawiazano kontakt z agencją astronautyczną NASA oraz z 40 przedsiębiorstwami zaangażowanymi w przygotowanie do lotów międzyplanetarnych. Zbudowano obrzydliwą wirówkę, w której aktorzy poruszali się w stanie nieważkości. Jednym z doradców był kosmonauta Deke Slayton, itd., itd...

Opowieść Kubricka rozciąga się na przestrzeni kilku milionów lat - od okresu małej człokształtności aż po wyprawę badawczą na Jowisza. Dzieją się rzeczy zapierające dech w piersiach i świadczące o fenomenalnym rozwoju ludzkiego umysłu. Ale zawsze w określonym momencie, jawi się przed pitekanthropem i przed genialnym „mózgowcem” czarny obelisk - zagadka, wobec której i jeden i drugi stają bezradni. „Nie pojadamy w zachwy nad naszymi osiągnięciami” - zdaje się mówić reżyser. „Sa w Kosmosie rzeczy, o jakich nie śniło się filozofom”.

Kubrick rwie niewność akcji, do minimum, ogranicza dialogi. Przemawia przede wszystkim językiem obrazów, koloco i dźwięku. W wielu momentach film może się wydawać niezrozumiały. Ale tak samo niezrozumiały jest przecież wszechświat. Przed zdużonymi oczyma widowni rozgrywa się „space-opera” czy może raczej „space-balet” kosmiczny w którym błądą utracone planety i światy, polazdy kosmiczne i ludzkie. Trudno to wyrazić słowami, to trzeba obejrzeć i przeżyć.

Odpowiedzi redakcji

S. M. Lublin. Interesujące jest to opowiadanie pisane językiem poetyckim, ale woliłbym więcej zdecydowania. Albo skrót, metafora i gra wyobraźni, albo analiza postaw i postępów ludzkich. Nie znaczy to, że wzywamy do schematyzmu, zresztą pogranicze gatunków jest dziś zjawiskiem powszechnym, ale niechby w tym nie tkwiła autorska asekuracja. Asekuracja ta może polegać na tym, że kiedy będziemy sprawdzali trafność obserwacji, autor sprostuje, że przedstawił tekst poetycki, kiedy natomiast będziemy oceniali grę wyobraźni, autor schowa się za zamiar prozatorski. Jwazem, to dwie postawy mogą być sobą współzgodne, wymagają jednak — że tak powiemy — podwójnej odpowiedzialności.

G. C. Nowa Sól. Utwory są zdecydowanie przemetatyzowane. Wydaje się jakby autor przyjął za punkt honoru zamiast np. „rzeka” powiedziec „masa wody znajdująca się w ruchu między źródłem a ujściem”. Właściwie na jedno wychodzi, ale co jest prościej, a więc trafniej? Metafora nie istnieje po to, żeby skomplikować język, ale by poruszyć te znaczenia słów i międzydowodnych związków, które leżą odległym w języku codziennym. Kwestia funkcjonalności metafor jest jedną z zasadniczych. Nie zawsze metafora, a nawet trafna metafora ma rację bytu. Ma rację bytu tylko wtedy, kiedy jest konieczna, kiedy właśnie takie ukształtowanie słów spełnia postulat maksymalnej pojemności treściowej. Wzrostko inne jest zewnętrznym ornamentem, który jako zewnętrzny jest zbędny, a jako zbędny — szkodliwy.

W. B. Janów Lubelski. Poruszył Pan jedno z zasadniczych zagadnień współczesnej literatury, a mianowicie: do jakiego stopnia pełni ona funkcje kształtujące i wychowawcze. a do jakiego jest gra, czy nawet zabawa w interesujące układanie słów. Inaczej: wzór bohatera, czy etiuda stylistyczna. Literacka futurologia wskazuje na przewagę tej drugiej postaci, wyglądałoby więc na to, że w przyszłości będziemy mieli do czynienia tylko z materiałem, rzemiosłem, techniką literatury, nie zaś z jej filozoficznymi i światopoglądowymi wnioskami. Ale czy takie postawienie sprawy nie zachiera istoty rzeczy, która — mimo wszystko — nie zmienia się przez wieki? Dopyki będzie istniał człowiek — tak, tak „staroświecko” trzeba postawić zadanie — on będzie głównym przedmiotem zainteresowania i prawda o nim przede wszystkim będzie celem wszelkiego artystycznego dociekania. Reszta to tylko sztafaż, który podlega okresowemu wahaniom mody.

W. P. Łęczna. Pani ma umiejętność w kreśleniu obrazków, ale czuje się, że zamiar powinien być większy. Są to więc jakby nie obrazki, ale za małe obrazy. Nie znaczy, że pod obserwację został wzięty zbyt wąski wycinek rzeczywistości (ta praktyka przynosi czasem imponujące owoce), ale że realizacja znajduje się w dysproporcji z rozmiarem kanwy konstrukcyjnej, która została założona. Ma się wrażenie, że rysunek został wykonany na zbyt wielkim kartonie. Rezultat — pozostają puste miejsca. Przepraszamy za ewentualną emblematyczną tej odpowiedzi, ale coś z czytelnicy impresji jest w każdej ocenie literackiej.

S. O. Lublin. Przestrzegamy przed niebezpieczeństwem popadnięcia w piosenkarsko. Wprowadzić wiele utworów poetyckich i to pierwszej klasy zostało napisanych w konwencji piosenki, ale to inna sprawa. Tam pobliże naiwności jest zamierzone, a nawet często spełnia rolę parodystyczną, natomiast wiersz, w którym za dobrą monetę przyjmuje się różne pseudopoetyckie błyskotki, świadczy o ubóstwie wyobraźni. Wybyszczyć można byle co — i o tym nie powinniśmy zapominać młody autor poszukujący drogi dla rozwoju swoich zainteresowań.

B. G. Puławy. Wiersze są niezłe, to już powód do nawiązania rozmowy, ale na nasz gust trochę tam za dużo materiału dyskursywnego, za mało czysto lirycznego. Zdajemy sobie sprawę z ryzyka takiego rozgraniczenia, ale jeśli teoretycznie nie jest ono poprawne, jako że z każdego materiału da się wyprowadzić wartość poetycką, praktycznie spełnia swoją rolę. Chodzi nam o potrzebę zbliżenia się do czytelnika, o umiejętność poddania nastroju, co jest nieodzowną właściwością wypowiedzi poetyckiej. Tego u Pana za mało, ale ponieważ wykazuje Pan równocześnie znaczne opanowanie rzemiosła, nie możemy niczego doradzać. Rada poetycka dotyczyć może tylko wstępnych etapów rozwoju autora, wszelka inna opinia jest sposobnością do dyskusji.

D. B. Kielce. Wzorować się na wybitnych współczesnych? Owszem, istnieje coś takiego jak korzystanie z doświadczeń każdego pokolenia, ale nie robmy sobie nadziei na możliwość mechanicznej kontynuacji. Ci wybitni współcześni również nie weszli do literatury drogą naśladowstwa. Zasadniczym warunkiem jest poszukiwanie. Można w końcu niczego nie znaleźć, ale jeśli na początku wykluźamy potrzebę pasowania się z trudnościami, przekreślamy samą możliwość literatury. Nadesłane wiersze są świadectwem opanowania pewnych umiejętności technicznych, ale w rezultacie przejęcia, a nie zdobywania. Spadek w literaturze — w przeciwnieństwie do ekologiczności życiowych — często bywa czymś uciążliwym.

POZIOMO: A1 — półwysp jugosłowiański, słynący winami, A12 — najbarziej nowoczesny poeta polski XIX wieku, B6 — najwyższy balkon w teatrze, C1 — stan w USA, C14 — narzędzie kowala, D6 — skrzypek — wirtuoz i pedagog, E1 — z trzech stron otoczony lądem kawalek morza, E12 — w 410 roku zdobył Rzym, F7 — pisarz ludowy ze Śląska Cieszyńskiego, autor „Kart z dziejów ludu Śląska Cieszyńskiego”, G1 — rozwój akcji w utworze tabularnym, H3 — polski pisarz okresu międzywojennego, autor „Kariery Nikodema Dymy”, I1 — polski poeta rewolucyjny zmarł w 1937 r., J11 — wojskowa nazwa jednostki przewoźowej, K5 — młodszy pracownik naukowy, L1 — nasienie, L12 — słynny most na Canale Grande w Wenecji, M8 — gra z fantami, N1 — imię wi szcza, N12 — okres pobytu jednej grupy na wczasach, O6 — roślina włóknista, P1 — autor elementarza, P12 — amerykański niedźwiedź brunatny.

PIONOWO: 1A — poeta polski, który przed miesiącem obchodził jubileusz, 2L — staroiranski bóg wiatru, burzy i wojny, 3A — szeroka droga, 3I — dramat Ibsena, 4E — dostarcza owoców i warzyw, 4L — jeden z dwu braci założycieli Rzymu, 5I — pierwiastek promieniotwórczy, 6A — kwitnie tylko raz w życiu, 6K — aktor polski, który dożył prawie 100 lat, 7F — dał imię stolicy, 8A — córka Klejstuta z „Konrada Wallenroda” 8K — blyszcząca tkanina na fartuchy i podszewki, 9F — domek z tkaniny, 10A — pozbawienie wolności, 10K — część świata 11H — angielski ołstolet masywny, 12A — jaja i mleko, 12J — znawca sztuki wojennej, 13E — pora roku, 14A — taniec kubański, 14H — figura szachowa, 15E — miasto powiatowe w woj. warszawskim, 15L — zabicie przez tłum osoby posiadzonej o przestępstwo, 16A — cerkiewne obrazy, 17E — Joseph Conrad.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod ad-

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
A																	
B																	
C																	
D																	
E																	
F																	
G																	
H																	
I																	
J																	
K																	
L																	
M																	
N																	
O																	
P																	

resem redakcji: (skr. pocz. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 4 był fragment wiersza Juliana Tuwima „Piotr Plaksin”.

„Na stacji Chandra Unyńska
Gdzieś w Mordobijskim powiecie,

Telegrafista Piotr Plaksin
Nie umiał grać na klawirze”.
Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 4 — cztery bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Irena Sowińska, Lublin, ul. Przemysłowa 25 m. 4, Adam Malodobry, Zamość, ul. Robotnicza 4, Krystyna Hakke, Jelenia Góra, ul. Bogusławskiego 16, Elżbieta Golińska, Puławy, ul. Poina 19/5.

listy do kamery

KUCHNIA TURYSTYCZNA

W związku z artykułem zamieszczonym na łamach „Kamery” z dnia 24 lutego 1974 r. pt. „Kuchnia turystyczna”, Zespół Barów i Jadłodajni zwraca się z prośbą o podanie następującej informacji.

Nadużycie w barze „Turystycznym” zostało ujawnione w czerwcu 1973 r. — przed reorganizacją przedsiębiorstwa. Nieuczciwy personel baru został natychmiast zwolniony z zajmowanych stanowisk. Za brak nadzoru zwolniono z pracy kierownika baru. Wymieniono również personel, który światłomnie zajmował bierną postawę wobec współpracowników działających na szkodę konsumentów.

Kierownictwo Zespołu oraz nowo zatrudniony personel baru „Turystycznego” nie chce, aby czytelnicy pisma i konsumenci odnieśli wrażenie, że sprawa ujawnionego nadużycia dotyczy aktualnego stanu.

Kierownik
Zespołu Zakładów
Gastronomicznych
mgr Marianna Winnicka

„PIERWSZA SKRZYDLATA”

Książkę Ludwika Bronisz-Pikalo pt. „Pierwsza Skrzydlata” wydana przez „Horyzonty” w ubiegłym roku, przeczytało około stu uczniów i uczennic VII Liceum im. Marii Konopnickiej w Lublinie. Kilkanastu spośród nich napisało recenzje, które stały się punktem wyjścia do dyskusji na forum Koła Polonistycznego w obecności autora. Szczegółnie zainteresowanie wymienioną pozycją w VII Liceum wynika między innymi z faktu lokalizacji szkoły, która

znajduje się w dzielnicy objętej w czasie okupacji działalnością „Losów”. Przedstawione to niej wypadki pokrywają się niejako z rodzinnymi opowiadaniem dotyczącymi dziejów Lublina w latach 1939 do 1944. Recepcja „Pierwszej Skrzydlatej” przez młodzież była nad podziw dojrzała, wynikała z głębokich przemyśleń, znajomości przedmiotu i umiejętności analizowania utworu literackiego. Jak przystoi prawdziwym krytykom, przyszli poloniści, mimo obecności autora, wygłaszali zarówno pozytywne, jak i negatywne uwagi.

Wypowiedzi dotyczyły najczęściej wartości poznawczych, rozumienia słowa patriotyzm przez młodzież okupacyjną i dziesiętą, identyfikacji z bohaterami, zagadnień kompozycji i stylu. Jedną z uczennic zaczęła swoją recenzję od pytania: „Co może powiedzieć o książce człowiek, który przeczytał ją w ciągu jednej nocy?”. Młodzież chętnie dokonywała oceny postaci występujących w utworze; szczególną sympatię uzyskał Adek — „uosobienie odwagi, poświęcenia, ambicji, koleżeństwa i honoru”, a także Ludwik „doskonały organizator umiejący pozyskać uznanie i zaufanie całego zastępu, Sprytny, inteligentny strateg”.

Ciekawym zjawiskiem dla pedagoga wydać się może próba identyfikacji bohaterów powieści z czytelnikami: „byli prawie w moim wieku, myśleli podobnymi kategoriami, zachowywali się czasem tak jak i ja”. „Często dziś inaczej mówimy i postępujemy, ale w głębi serca jesteśmy tymi samymi chłopcami”. Nie wszyscy w pełni zaakceptowali kolejne akcje „Losów”, np. kwestionowano niszaczenie przez zastęp linii telefonicznej, którą potem musieli naprawiać jeńcy w bardzo trudnych warunkach. W zakresie formy powieści młodzież oceniła pozytywnie prostotę i jasność wypowiedzi: „(język) żywy a wraz z ciekawą akcją powoduje to, że książkę czyta się jednym tchem”. „Bronisz-Pikalo nie chowa za parawanem słowa-szandarów normalnej, wojennej rzeczywistości”. „Momentami dramatyczne i komiczne przewijają się przez cały utwór spracniając, że jest on bardziej nam bliski”.

Mogę zaryzykować twierdzenie, że książkę tę należałoby rozpowszechnić wśród lubelskiej młodzieży, zwłaszcza w wieku 12-15 lat, ze względu na patriotyczną wymowę, ukazanie sugestijnych utworów etycznych, którymi są jej bohaterowie oraz żywą, logicznie skonstruowaną akcją.

mgr Krystyna Głowniak
VII Liceum Ogólnokształcące
im. Marii Konopnickiej
w Lublinie

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

„Teresa Mazuryk uprzejmie prosi o przystanie wszystkich odcinków „Smaku miłości i łez”, a Henryka Wasil reflektuje na odcinku 1-34. Obie czytelnicy gwarantują zwrot tekstów. Oto ich adresy: T. Mazuryk, Rusiły, 22-222 Podewórz, pow. włodawski; H. Wasil, Średniówka, 22-451 Jędrzejówka, pow. białogajski.

SZĘŚCIOKROTNIE DROŻEJ

Do reportażu Marii Bechzye-Rudnickiej „Paryż za 110 dolarów” w nr 5 „Kamery” wkraśl się błąd maszynowy: cena pokoju hotelowego wynosiła nie 4 i pół frs, lecz 24 i pół.

KONKURS NA REPORTAŻ

Centralna Rada Związków Zawodowych wraz z Instytutem Wydawniczym CRZZ, ogłaszając konkurs na duży reportaż (w formie książki) lub zbiór reportaży, podejmujący problematykę powszedniego dnia żalóg pracowniczych. Organizatorzy konkursu pragną, aby jego plon odzwierciedlił codzienny wysiłek ludzi pracy, składający się na dorobek kraju. Byłyby to więc relacje z zakładów produkcyjnych, pokazujące problemy pracy i życia ludzi, zaangażowanych bezpośrednio w wytwarzanie dochodu narodowego, ich gospodarską postawę, inicjatywę, dążenia do usorawienia pracy i zwiększenia jej efektywności, a także zaspokajania własnych aspiracji.

Na konkurs mogą być zgłaszane prace nigdzie dotąd nie publikowane.

Przewiduje się następujące nagrody: I — 15.000 zł, dwię II po — 10.000 zł, dwię III po — 7.000 zł, oraz pięć wyróżnień po 4.000 zł.

Prace w 3 egzemplarzach, o objętości nie mniejszej niż 40 stron maszynopisu, oznaczone godłem należy zgłaszać na adres: Instytut Wydawniczy CRZZ, Warszawa, ul. Soasowskiego 1/3 w terminie do 31 stycznia 1975 r. (rozstrzyga data stempla pocztowego). Przesyłkę z dołączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres autora pracy, należy sygnować napisem „Konkurs na reportaży”. Rozstrzygnięcie konkursu ogłoszone zostanie w maju 1975 r.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Zalóyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostali (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogdan Madej, Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 18 zł, półrocznie 9 zł, kwartalnie 4,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumerate wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumerate za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerate na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piatki w godz 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Umicka 4, Zam. 628, 8.III.74, E-4.

Numer łamal Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa.

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35.

Nr indeksu 34-400

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

Z książki zażaleń

STRASZNEGO pecha miał poprzedni dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Lublinie. Na początku (jeśli się nie myli) grudnia zasypało nas potwornie, ruch w mieście został sparaliżowany, a MPO wykazało kompletną indolencję. Zmiany personalne okazały się konieczne. A gdyby tego dnia dyrektor, jak to się mówi, zadziałał, mógłby później leżeć przez całą niemal zimę do góry bruchem. Bo zimy właściwie nie mieliśmy, a śnieżyły nam tylko lodówki.

Lodówki nie śnieżyły chyba jednak w „Europie”, lokalu I kategorii, bo coca-cola ma tam temperaturę pokojową. I co tu wymagać od lokalu (III, IV kategorii?) chociażby takiego, jak „Gerwazy” na LSM-ie, gdzie sytuacja jest identyczna? Oczywiście coca-cola można sobie kupić w sklepie i zamrozić w domu. Jeśli jednak ktoś mieszka w okolicy ul. Wileńskiej stale słyszy w sklepie ze słodyczkami (w tzw. pawilonach): — Coca-cola dziś nie mamy. — A wodę mineralną macie? — Też nie. Jest tylko piwo... Hmm! I piją to piwo przed sklepem. Są nawet na tyle hojni, że butelki zostawiają na chodniku. Bo w sklepie pić nie wolno. Śluznie. A przecież przed sklepem patrol MO nie będzie dyżurował godzinami.

LSM — to najspokojniejsza dzielnica w Lublinie. I chyba dlatego zakładanie światła przy ul. Wo-

dyjowskiego trwa już niemal pół roku. Jeszcze na jesieni wkopano stopy, zrobiono wykopy. Przyszły mrozy (małe, ale przyszły), w czasie odwilży część ziemi się obsunęła, wszystko trzeba będzie zaczynać od początku. Skandal wybuchnie, gdy ktoś kark skreci.

MPK przedłożyło wreszcie trasę „dziewiątki”, która teraz dochodzi aż do Al. Krasnickiej. Uczciwość nakazywałaby serdecznie dyrektorowi MPK dłoń uściśnąć i nie wybrzydzac. Ale, drogi dyrektorze, czy te „dziewiątki” uprawiają grupowy seks? Długo, długo nie ma żadnej, a potem mkną jedna za drugą. Kiedyś, stojąc na przystanku, naliczyłem pięć wozów jadących w odstępach 1-2 minutowych. Dojechały do końcowego przystanku i tam chyba kierowcy wyprawiali wspólny bankiet, bo dopiero po kwadransie zjawił się pierwszy autobus w stronę FSC. Był tłok, zaczekałem na następny. Ale ten następny zdażył już zmienić numer 1, oczywiście, choć pusty — nie zatrzymał się. Minęło jeszcze dziesięć minut zanim kolejna „dziewiątka” raczyła się zjawic. A mnie raczył już wziąć wszystkie diabli. Inym znow razem „dwunastka” przyturlała się osiem minut przed czasem. Kierowca dość opryskliwie poinformował mnie, że on wie tylko to, w jakich godzinach ma ruszać z końcowego przystanku. No to ja się pytam: po co są dokładne godziny odjazdu na tabliczkach z rozkładami jazdy na każdym przystanku? Czy nie lepiej napisać: „dwunastka” kursuje, dajmy na to, między 11 a 11.15, 12 a 12.15 itd.

A po co — kolejne pytanie — są napisy przed przednim siedzeniem obok kierowcy informujące, że dzieci nie mogą zajmować tego miejsca? Napis ma swój sens: jest to bowiem miejsce honorowego samobójcy. Kto już trochę przeżył, pal licho, niech ryzykuje, ale dzieci chrońmy od wszelkiego zła. I co? Chronimy? Raz zwróciłem kierowcy uwagę na to, że nie przestrzega przepisów, a

on spojrzal na mnie tak, jakbym przed chwilą nawiał ze szpitala w Abramowicach. Oczywiście dziecko tu nie winne, bo zapewne alfabetu nawet nie znało.

Swoją drogą jakby to było ładnie, gdyby na przedzie wozu znalazła się tabliczka tej treści: „Tym autobusem kieruje (na przykład) Alojzy Zabek.” Moglibyśmy wówczas powiedzieć: „Panie w Zabek czasami, dlaczego pan tak szarpie samochodem?” Kierowca, któremu na pewien czas powierzamy nasze do-cześnie jeszcze nie szeszątki, pozostaje dla nas a n o n i m e m. Z anonimami się nie dyskutuje. W czasie postoju. Bo w czasie jazdy w ogóle rozmawiać z kierowcą nie wolno. Ale kierowcy wolno rozmawiać z pasażerem. Żaden przepis tego nie zabrania.

Kończąc tę skromną książkę zażaleń. Pisałem ją chłodną nocą przy otwartym oknie, bo kaloryfery grały, jak w czasie najostrejszych mrozów. Nie boję się, że je natychmiast wyłącza, bo kto u nas jeszcze reaguje na krytykę? Zapomniałbym! Miejska Rada Narodowa, która w grudniu szybko zdjęła ze stanowiska dyrektora MPO, m.in. po krytyce prasowej. No, tak, ale to było w grudniu po południu... Teraz mamy marzec i starego zrzędcę

MAJ-a.

P.S. Pytają mnie dlaczego „Kamena” nie drukuje listów, które nadeszły do redakcji po felietonach o działalności Teatru im. J. Osterwy? Po prostu dlatego, że listy te są... anonimowe. Autorzy popierają stanowisko redakcji (to cieszy), ale nie mają odwagi (to martwi), aby się pod listami podpisać. A wystarczyłoby dodać nazwisko do wiadomości redakcji! Tylko jedna osoba nam zaufała, postępując w ten właśnie sposób. To nieco za mało! Czyżby w ogólnych ramach podwyżki plac, które obecnie dyrektor, niby od siebie, przyznaje?



Duet

Fot. L. Leo

Kazimierz Chyła

REFLEKSJE

Smażył się we własnym sosie. W końcu się przypalił.
*
Największy nawet bełkot stroi się w piórka podtekstu.
*
Wpierw rzucił rękawicę. Gdy stanął przed nim przeciwnik, szybko ją podniósł.
*
Gdy przyłapano go, okazało się, że gorący uczynek już dawno ostygł.
*
Im człowiek mądrzejszy, tym bardziej uzależniony jest od siebie.
*
Szef nie mógł znaleźć partnerów do dyskusji. Wszyscy z nim się zgodzali.

Bogusław Wiczorek

DO AKTORA

Dykacja fatalna, wnętrze ubogie, Słowem — twa rola leży odlogiem.

APODYKTYCZNY

Taki jest apodyktyczny, (kawał z niego dronia!), że nie bierze pod uwagę nawet swego zdania...

Ijon

— Przecież nie uwzględnił nam tego rachunku. Noe spędzimy w pociegu.

— No to co? Zapłacimy z własnej kieszeni. Ja zapłacę... Zuzanna mocno przytuliła się do Mariusza.

— Daj spokój! Przecież to drobiazgi.

— Zapłacimy po połowie. Zgoda? Bardzo cię proszę nie rób z tego problemu.

Gdy zatulił formalności i znow znalazł się w swojej cichej przystani, Zuzanna powiedziała niespodziewanie:

— Co dalej stanie się z nami, Mariuszu?

— A co ma się stać?

— Tak się boję, że znow wrócisz do Barbary...

— Co ci przychodzi do głowy? Nie mów o niej!

— Mariuszu, pobierzmy się. Ja mam trochę pieniędzy. Jakoś się urządzimy.

— Jak to sobie wyobrażasz? Gdzie będziemy mieszkać?

— Wynajmiemy pokój sublokatorski. Na krótko zresztą, bo — ściszyła głos — bo ja mam dostać na początku pierwszego kwartału w przyszłym roku mieszkanie. Nie mówiałam ci o tym, bo się bałam, że możesz mnie nie zrozumieć, ale teraz, kiedy to się stało, nie muszę już ukrywać...

Mariusz zamyslił się. Matżeństwo... Własny dom... Nigdy właściwie nie miał własnego domu. Całe jego życie upłynęło w Domu Dziecka. Zawsze otoczony był gronem kolegów i koleżanek, przy nim znajdowała się ukochana siostra, Nina, opiekunowie okazali mu serdeczność, ale nie mogło zastąpić atmosfery prawdziwego ciepła. Ale czy znajdzie szczęście z Zuzanną? Czy przed oczyma nie będzie mu stała postać Barbary? Nie jest łatwo podjąć decyzję o związku z drugą osobą. A zresztą co on właściwie wie o Zuzannie? Czy to, co teraz jest między nimi, można nazwać miłością czy ora zmysłów? Zuzanna sprawiała wrażenie zakochanej. Przekonał się, że miała dobre serce. Świadczyła chociażby o tym jej propozycja pożyczki finansowej. Ale czy tego dobrego serca starczy na całe życie? A poza tym zamierzał się dalej kształcić. Matżeństwo, ewentualnie i dziecko, mogło przeszkodzić w tym zamiarze. Rozpocząłaby się pogoda za prozorem, za szybkim urzędowaniem się. Problemy, problemy, problemy...

— Mariuszu najdroższy, dlaczego nie mówisz? Boisz się matżeństwa ze mną?

MARTINA WSZYTAKOVA



Mariusz i Zuzanna przebywają w Szczecinie. Rajmund Borowski, który obiecał im zatulić pewne sprawy, został aresztowany za pobieranie łapówek. Właśnie przed chwilą o tym się dowiedzieli... O oto dalszy ciąg akcji naszej powieści drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restaurante”.

(37)

Mariusz i Zuzanna wrócili do hotelu i stąd zamówili rozmowę z kierownikiem swego zakładu. Nadspodziewanie szybko otrzykali połączenie, Mariusz opowiedział o trudnościach i pytał, co mają dalej robić.

— Do diabła, to bardzo niedobrze! — Kierownik był najwyraźniej przerażony. — Najlepiej tę sprawę można było zatulić właśnie z Borowskim. Doprawdy nie wiem, co teraz robić... Wściecie coś? Wobec tego wracajcie... Ugodnimy dalszy tryb postępowania na miejscu.

Do odejścia pociągu pozostało im jeszcze około dziesięciu godzin, ale już za dwie godziny musieli zwołać pokój.

— Mariuszu, a może zapłacimy jeszcze za jedną dobę? — szepnęła Zuzanna.

minuta myślenia

Pięć kół

NA samą wiadomość (a piszę to dnia 2 marca 1974 roku) chce się bić brawo: Dni Olimpijskie — i to właśnie w Lublinie! Nie masz lepszego specjatu dla starego sportowego kibica. Wprawdzie nie mogę się pochwalić, że pamiętam czasy pierwszej nowożytny olimpiady (rok 1896), choć Hamilton z pewnością odbył rozmowę z pierwszym w ogóle zwycięzcą olimpijskim, Korobosem (rok 776 p. n. e.), ale wystarczy lat, które posiadam, by do idei olimpijskiej mieć stosunek specjalny. Specjalnie namaszczonej.

Dlaczego specjalnie? Czyżym uważał, że dzisiejszy amator sportu mniej umie dopatrzeć się w nim wartości kształcących fizy i psychiczną ludzką? Że nie docenia w pełni nobilitacji idei łączącej ludzką w rywalizacji szlachetnej, bo w wysiłku do doskonałości? Bię się w pierś: trochę tak. Dzisiejszy obserwator tego, co dzieje się na bieżni, skoczni i rzutni, mniej traktuje to jako tradycję kulturową, bardziej natomiast jako atrakcyjną imprezę pożyteczną, bo relaksowo zajmującą czas przeladowany steresami współczesności. Nie dziwota. Tempo postępu w sporcie wyczynowym jest tak wielkie, że na pierwszy plan wysuwa techniczną jego stronę. Pytanie: jaki styl, jaka metoda, jaka innowacja przyniosła tak ośniewający rezultat, jest całkiem na miejscu wobec natłoku o-wych rezultatów, a to raczej nie sprzyja ogólnohumanistycznej refleksji. Biegnie się coraz szybciej, skacze coraz wyżej, rzuca coraz dalej.

Ala nie tylko to. Przy osiągnięciu takich wyników zatracą się trochę amatorski charakter sportu, a więc znow mniej miejsca na refleksję, na osobisty don stosunek, a więc i jakby czystą olimpijskość. Chociaż — nie można powiedzieć, że pod tym względem pewnych tradycji nie dostarczyła właśnie starożytność. Oto w wyścigach wozów zwycięzcą zostawał nie woźnica, ale właściciel koni i zaprzęgu, a więc ten pierwszy traktowany był jako najemnik, mający do wykonania powierzoną pracę, co bez pewnego wynagrodzenia nie mogło się obyć. Ponadto zwycięzca olimpijski był zwolniony od podatków do końca życia, a w Atenach od VI w. p. n. e. dodatkowo przyznawano mu nagrodę pieniężną w wysokości 300 drachm (jedna drachma posiadała równowartość 4,37 gramów srebra).

Ba, można by się tam doszukać nawet pierwocin zjawiska nazywanego dziś przekurstwem i kaperownictwem. Np. na 96 olimpiadzie (rok 388 p. n. e.) Tessalcyk Eupolus przekupił swoich trzech przeciwników. Wprawdzie sędziowie wszystkich czterech skazali na... kary pieniężne, ale mrokiem niewiedzy jest dla nas przestępstwa kwesta, co się stało z gałazką oliwną, a mianowicie czy przypadkiem nie trafiła do rąk finansowego olimpijczyka? Zwycięzca olimpijski w roku 488 p. n. e., Astylos z Krotonu, po odniesionym triumfie kazał się wywołać nie jako krotończyk, ale jako syrakuzaneczek. Pozostawało to w znamienym związku z trzosem tyrana Syrakuz Gelona, który miał fantazję w ten sposób swojemu miastu zatundować laur olimpijski.

Powróćmy jednakże do samej idei. Otóż wydaje się, że jest ona najpoważniejszym reliktem starożytności w czasach dzisiejszych i nawet dziwić się wypada, że coś tak pierwotnego — w znaczeniu: nie obrotowego warstwą kulturowego sztafażu — powstało znacznie przed złotym wiekiem

kultury helleńskiej, ma tak ważne miejsce wśród składników tworzących oblicze naszej epoki. Ze dzisiejszy skoczek w dal jest bliskim towarzyszem tamtego zawodnika wykonującego swój skok właściwie dość niewnie, bo podobno z obu nog, co raczej nie służy uzyskaniu maksymalnego wyniku w tej konkurencji. Ale wspólna jest ta tendencja wyeliminowania, a przynajmniej ograniczenia środków technicznych mogących stanąć na przeszkodzie zmierzaniu się sam na sam ciała ludzkiego z oporem przestrzeni. Postęp wyników nastąpił szalony, postęp oprzyrządowania — minimalny.

(Znow dla ścisłości. Wprawdzie istnieją źródła, które przekazują, że np. Milton z Krotonu obniósł na barkach byka wokół stadionu, że Titormos pochwycił za rogi dwa byki, które mu się nie mogły wyrwać, czego dziś raczej nie przypiszemy nawet rekordziście świata w podnoszeniu ciężarów, ale... naród, który miał tak fantazyjną mitologię mógł sobie pozwolić również na olimpijską legendę).

Wspólna też cena lauru olimpijskiego. Medal, medal — to w czasie olimpiady nie tylko wewnętrzny okrzyk zawodnika, ale niemal polityczna racja stanu. Jeśli się z zapasów wychodzi z medalową zdobyczą mniej okazałą niż malowały to przewidywania, następują sumiście w telewizji, konferencje za konferencjami w najwyższych instancjach sportu, a nie wspominamy już o tym, że cały naród nosi nos opuszczonej na kwintę, Śluznie. Ale pragnę zaznaczyć, że świadczy to nie tylko dodatnio o narodzie, który chce piersiami swoich zawodników przerwać jak największą ilość tańm, ale również dobitnie — o atrakcyjności starożytnej idei i przyjęciu jej za swoją przez współczesność. Żadna też futurologia nie wskazuje na zmierzch olimpiad. Natomiast wszelkie znaki na ziemi i niebie zdają się wykazywać, że pięć kół coraz prędzej toczy się po niebie obecnej ludzkości. I chyba przyszłej.

— Nie. Ale wszystko między nami zrodziło się tak nagle. Daj mi trochę czasu do namyślu.

— Dobrze, Mariuszu. Nie chce, abys sądził, że tapię cię na męża. Pragnęłabym, abys nie podejmował pochopnej decyzji. Ja wiem, że dzisiaj ludzie, jeśli się ze sobą nie zgadzają, łatwo się rozwodzą, ale dlaczego my mamy popełniać te błędy, które popełniają inni? Pocałuj mnie. Mocno pocałuj!

Znow świat zawirował mu przed oczyma. Nagle zadzwieczał telefon.

— Zamiejszcowa. Łączę — usłyszał w słuchawce.

— Kto to taki? To chyba pomyłka? — Zuzanna patrzyła zaniepokojona.

— Zobaczymy. Może w zakładzie sobie coś przypomniał...

— Przecież nie podawałaś numeru telefonu...

— Mariusz, to ty? Mariusz, mów głośniej! To ja, Basia!

— Tak, tak. Słyszysz cię. Jak mnie tu znalazłaś?

— Wczoraj wieczorem dzwoniłam po wszystkich hotelach i wreszcie trafiłam. Niesiety, nie zastatał cię, dzisiaj miałam wtecej szczęścia.

— A co się stało?

— Nic. Chciałam usłyszeć twój głos. Stęskniłam się za tobą. Wyjechałaś tak niespodziewanie... Ale jednak cię znalazłam. Kiedy wracasz?

— Wyjeżdżam wieczorem.

— To ja wyjdę po ciebie na stację.

— Basiu, po co?

— Naprawdę nie chcesz? Już mnie nie kochasz? No powiedz, kochasz?

— Mariuszu, daj słuchawkę! Ja z nią porozmawiam! — Zuzanna szarpnęła Mariusza za rękę. Odrzucił ją i potoczył palec na ustach.

— Mariuszu, co się dzieje? Ty nie jesteś sam. Pojechałaś razem z Zuzanną i stąd ta konspiracja. Ach tak, teraz wszystko jest już dla mnie jasne.

— Basiu!...

Rozległ się trzask słuchawki i zaraz potem głos telefonistki:

— Rozmowa skończona?